przepraszam, że piłem pierwszy

OPOWIADANIE HENRYKA CZARNECKIEGO

co się dzieje za tymi drzwiami?

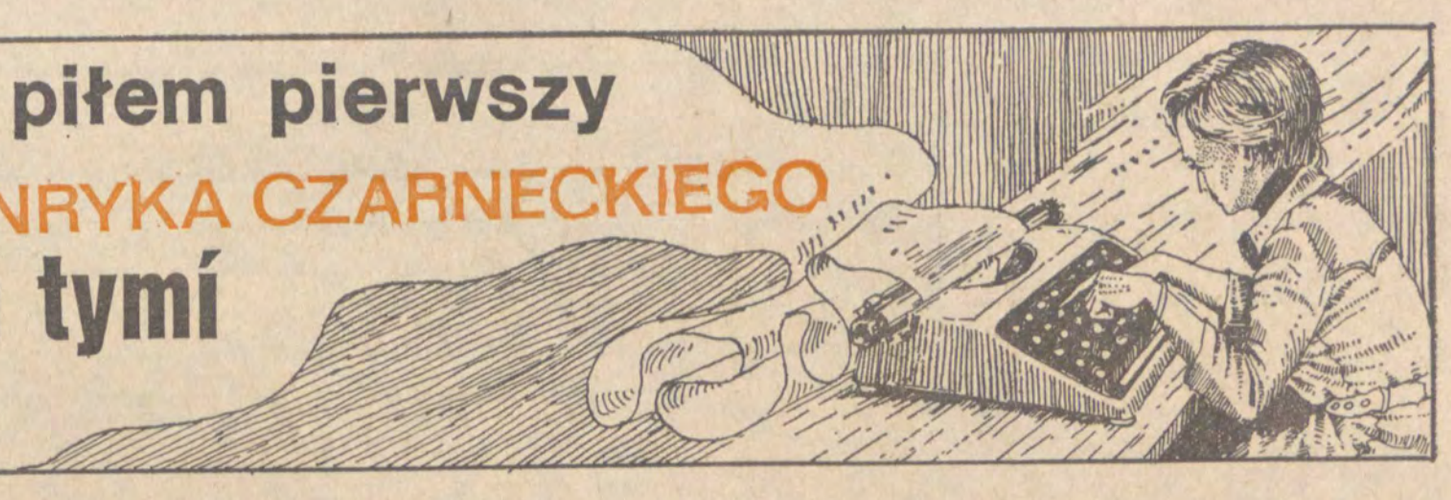

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ŁÓDŹ

ODGŁOSY

ROK XX NR 7 (1001)
13 LUTEGO 1977 R.
CENA 3 ZŁ

OBYCZAJE

ADAM LEWASZKIEWICZ

PANI KRYSIA POSTRACH TAKSÓWKARZY

Jedni grają w Toto-lotka, aby zdobyć milion, inni za ciężką forsę sprzedają jak to się w przenośni mówi — Kolumnę Zygmunta — czyli to czego nie mają, lub to co nie stanowi ich własności. W żargonie cwaniacko-złodziejskim mają oni nazwę farmazonów. Do nich należy, a raczej należała, pani Krysia z Widzewa.

Pani Krysia jest swoistą rekordzistką — w ciągu półtora roku w wyniku intensywnej „pracy" „naciągnęła" jak się sama przyznaje 29 osób na 1.226 tys. zł. Prokuratura Dzielnicowa Łódź-Widzew, w osobie prowadzącej w tej sprawie śledztwo prokurator Elżbiecie Cyrkiewicz, podejrzewa, że oszukanych jest znacznie więcej, a wyłudzona kwota przekracza 2 miliony złotych. Bilans więc się nie zgadza — zarówno co do pozycji jak kwoty. Jak zawsze w takich wypadkach sprawę definitywnie rozstrzygnie sąd. Nie wkraczając więc w kompetencje zarezerwowane wyłącznie dla sędziów — zajmijmy się stroną obyczajowo-społeczną — techniką tej sprawy, tym bardziej ciekawej, że wyciągnąć od ludzi 1.226 tys. zł nie jest sprawą łatwą, bo jak się słyszy wokół „głupich dziś nie ma" a „naiwnych nie dowieźli".

Pierwsza zasada — nie tracić okazji

Trudno właściwie powiedzieć, czy pani Krysia wychodziła z domu z wyraźnym nastawieniem „dziś popracuję" czyli z zamiarem oszukania kogoś. Po prostu okazji nigdzie nie brak, wystarczy mieć tylko oczy i uszy otwarte.

Oto przykład: Pan Krysia jest w dużym supersamie przy ul. Piotrkowskiej. Z koszykiem w ręku zmierza w stronę półki z serem. Obok stoją dwie ekspedientki.

— **Gdybym miała dwa bony** — mówi jedna z nich — **kupiłabym sobie kosmetyki zagraniczne.**

A pani Krysia na słowo „bony" uszy nastawia jak radar. Bony — to jest to. Jej specjalność. I już gotuje sidła, czując szmal. Żeby zyskać cudze zaufanie — trzeba samemu wpierw stracić. Żeby „zarobić" 100 tysięcy — trzeba zainwestować przynajmniej dwie, trzy setki. Pani Krysia to wie.

— **Jesteście takie miłe babki** — wtrąca się do rozmowy pani Krysia. — **Ja wam to załatwię.**

Dalszy ciąg na str. 6

GOSPODARKA

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

200 MIL ŻEGLUGI PRZYBRZEŻNEJ

CZYTAJ NA STRONIE 3

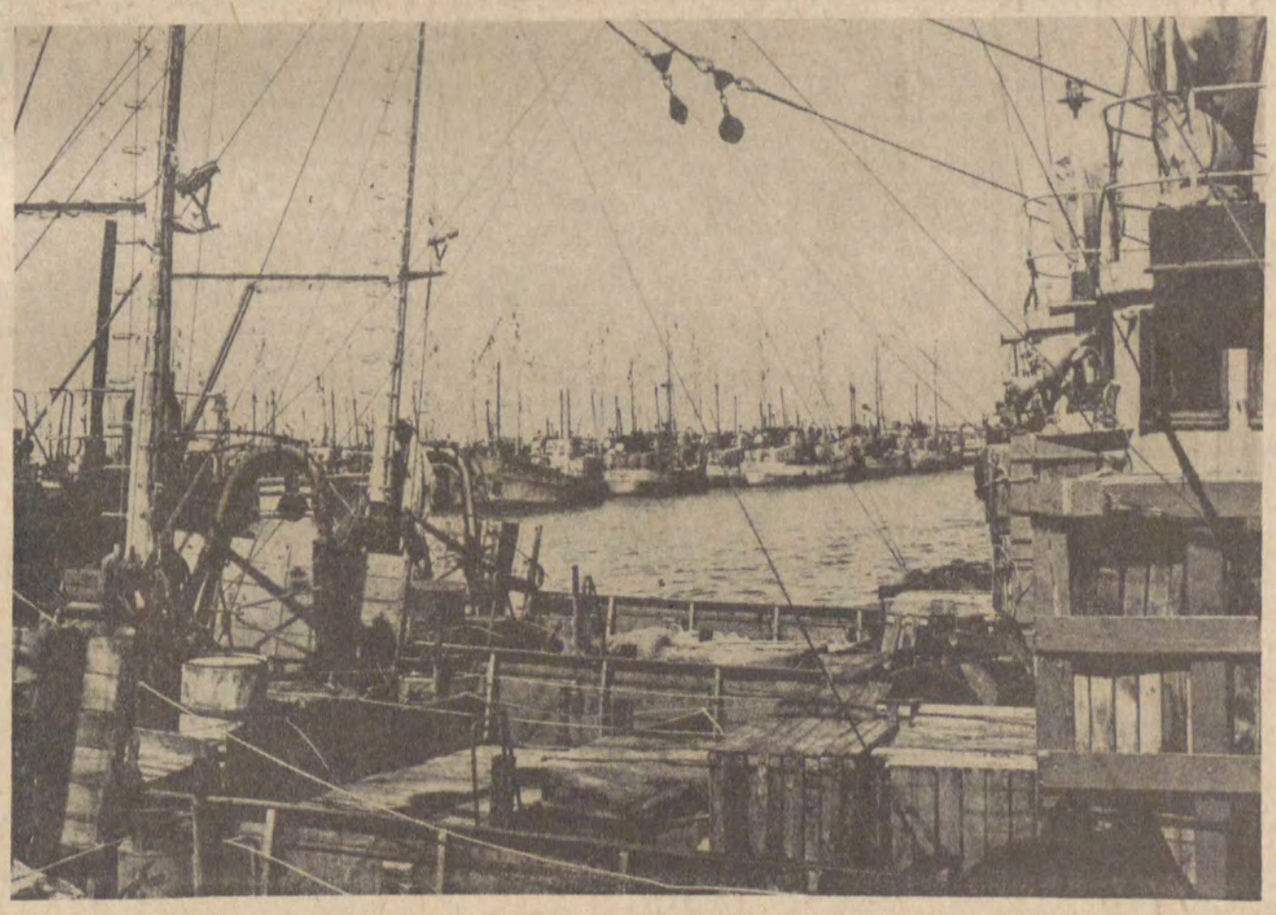

ŻYCIE SPOŁECZNE

MIROSŁAW KUŹNIAK

„OPIEKUNKĘ DO DZIECI PRZYJMĘ..."

Te starsze wychodzą o dwunastej, kiedy przez chmury przedzierają się promyki słońca, a śnieg trzaska pod nogami, iskrzy się, lepi do obcasów. Bo południe to podobno najcieplejsza godzina całego dnia. Obiad jest już nastawiony, kipią zupy, ostrugane ziemniaki czekają na później. Na balkonach, gdy nie sypie śnieg, wietrzą się poduchy i kołdry. Wychodzą powoli, wyciągając z głębi blokowych klatek wózki. Potem wynoszą opatulone kukiełki: dwie, nie, trzy pary rajtuzów, gruby skafander, szalik zakrywający nie tylko szyję, ale i usta. Między kapturem a szalikiem niewielka przestrzeń na oczy.

Kiedy już leżą w wózkach, zaczyna się mozolne, a może raczej dostojne k r o c z e n i e. Te najstarsze, również opatulone po same uszy, niektóre jeszcze w dużych czarnych chustach, kurczowo trzymają się poręczy wózka.

Dalszy ciąg na str. 8

WRACAMY DO TEMATU

ZOFIA TARNOWSKA

JESZCZE RAZ dwie kobiety I PREZES

W lutym 1976 roku ukazał się w „Odgłosach" artykuł na temat nieprawidłowości powstałych w działaniu **Lokalnego Zrzeszenia Właścicieli Nieruchomości.** Tytuł: **DWIE KOBIETY I PREZES** dotyczył wykrycia przez główną księgową i dyrektorkę Biura Usługowego Administracji Domów tego zrzeszenia niepokojących — z punktu widzenia uczciwości i norm prawnych — metod pracy zarządu i jego prezesa. Spowodowały one kontrolę, a wyniki kontroli stały się podstawą do artykułu, w którym jednocześnie pisaliśmy o akcji odwetu, jaką zastosowano wobec dwóch odważnych i uczciwych kobiet.

Reakcja na artykuł była natychmiastowa. Niemal wszyscy członkowie zarządu przybyli do redakcji z żądaniem sprostowania artykułu, potwierdzili to następnie pismem, które umieściliśmy w jednym z następnych numerów „Odgłosów". Zarząd i Komisja Rewizyjna Zrzeszenia stwierdziła:

„...że autorka artykułu bezkrytycznie poparła jednostronne twierdzenia dwóch kobiet, nikogo prócz siebie nie reprezentujących. (...) Obydwie kobiety, wbrew ustaleniu w artykule, mają już rozwiązany stosunek pracy ze Zrzeszeniem. Przeciwko Janinie Z. toczy się sprawa w Sądzie Rejonowym w Łodzi. Przeciwko Janinie Z. i Janinie G. solidarnie b ę d z i e wniesione powództwo cywilne o pokrycie strat materialnych, spowodowanych błędną, niefachową, bezprawną, bo z przekroczeniem swoich kompetencji i szkodliwą dla Zrzeszenia działalnością — po zebraniu wszystkich odpowiednich dowodów. Dlatego dopiero po wydaniu prawomocnych orzeczeń, będziemy mogli sprecyzować sposób i formę żądanej satysfakcji za niezgodny z prawdą artykuł".

Uznając dokumentację, na której oparłam artykuł za prawdziwą, zastrzegłam sobie prawo powrócenia do tematu. Wracam więc...

Sprawa tocząca się z oskarżenia prezesa Zarządu Zrzeszenia przeciwko Janinie Z. została rozstrzygnięta. Oto treść wyroku ogłoszonego przez Sąd Rejonowy w Łodzi:

Dalszy ciąg na str. 5

KSIĄŻKA

ŚLADY NA PLAŻY

„PLAŻA NAD STYKSEM" jest powieścią atrakcyjną. Jej wartka akcja rozgrywa się w elitarnym środowisku członków Międzynarodowego Klubu Literackiego, delegatów na kongres odbywający się w Wiecznym Mieście. Atrakcyjność polega zresztą nie tyle na interesującej fabule, co na znakomitej sztuce narracji. Wątki erotyczne przydają powieści dodatkowego smaku.

W utworze tym Żukrowski przeprowadza, ale i poddaje krytyce tezę, w myśl której pisarz powinien być sumieniem świata. Napisałem pisarz, a nie literatura — bo jest to określenie celniejsze. W „Plaży nad Styksem" chodzi przecież nie tyle o same teksty, co o żywych twórców, ich postawy oraz miejsce we współczesnym, obfitującym w różnorakie konflikty świecie, o szanse czynnego włączenia się w rozwiązywanie palących problemów. Żukrowski ze znawstwem godnym Rembrandtowskiej „Lekcji anatomii" obnaża słabości pisarzy różnego kalibru i autoramentu, ukazuje ambiwalencję postaw: z zaangażowaniem moralnym idzie w parze zwyczajna, a przez to bezpardonowa, rozgrywka wyborcza do Zarządu Klubu, buntowi młodych obok krytyki zwyrodnień życia społecznego towarzyszy nihilizm.

Parafrazując znane powiedzenie Stendhala rzec można, że książka ta jest zwierciadłem przechadzającym się po gościńcu współczesnego życia literackiego i nie tylko literackiego. Mieści się w niej — podobnie jak w dotychczasowej twórczości Wojciecha Żukrowskiego — cała rozmaitość świata, odtwarzanego przy pomocy słowa tak znakomicie, iż czytelnik czuje się współuczestnikiem rzymskiego pobytu Łucji Goray, wraz z nią chłonie wszystkie barwy i zapachy miasta tak ściśle związanego z ożywczym śródziemnomorzem, kolebką europejskiej kultury.

Odwieczne tematy literackie: miłość, śmierć, wolność jednostki i narodu, pokazane zostały jakby poza literaturą. Inaczej mówiąc — ujawniona została bezsilność literatury wobec życia, ciągle zaskakującego, nie dającego się wtłoczyć w żadne schematy, drwiącego z literackich recept.

Jednakowoż literatura jest potrzebna. Już nie tylko jako zapis wszystkich odmian człowieczeństwa. Również — a może przede wszystkim — jako przedmiot międzynarodowej wymiany kulturalnej, jako okno na świat i zarazem okno, przez które przyjrzeć się nam mogą inne narody. Powinna łączyć, stać się czymś w rodzaju — jak pisał Karol Irzykowski — „mostu błękitnego". Zadanie szczytne i odpowiedzialne, stąd patetyczny ton kongresowych wypowiedzi: „Świat jest skłócony i nasza stara Europa nie może zaznać upragnionego spokoju. Ludzie wierzą fałszywym głosom, które sieją nieufność, złość wzajemną i niecą gniew niesprawiedliwy. Żeby się zbliżyć, pojednać, osiągnąć braterstwo, jakie nas tu łączy, trzeba się poznać. To przecież my, poeci i pisarze, jesteśmy wędrującymi językami naszych narodów, poprzez nas przemawia los naszych krajów. Szukajmy więc tego, co winno łączyć. Ale nie znaczy to, bym zalecał: przemilczmy sprawy sporne, godne wspólnego rozważenia i dyskusji... Myślmy o przyszłości! Mówię to do was, o natchnieni, wybrańcy bogów — pisarze..."

Sensualistyczna wizja świata Żukrowskiego byłaby niepełna, gdyby zabrakło w niej wielkich namiętności i uczuć. Takich, od których tworzą się rany. Przy całej żywiołowości tej prozy zauważyć się daje ton epickiego spokoju, ukazanie zbawiennego działania czasu w myśl dewizy: czas kaleczy, czas leczy. W kluczowej scenie powieści prezes klubu Giovanni Battista Castiglione upozowany jest niedwuznacznie na Charona, gdy powiada Łucji: „Nasze spory, nasze malutkie triumfy są jak zamki z piasku. Zagarniamy rękami, że to moje, moje, uklepujemy, ryjemy dłońmi w zapale, a za nami suną czarne wody Styksu". I dopiero w tym momencie jawi się konkretna, dokumentalna niemal funkcja literatury: ocalić ślady na plaży, by nie zostały zmyte przez wody Styksu. Te ślady, które kiedyś świadczyć będą, że istnieliśmy.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

W. Żukrowski, Plaża nad Styksem, Czytelnik, Warszawa 1976, nakład 30 290 egz., cena zł 35,—

MUZYKA

Kameraliści w B.U.Ł.

Ściśle: w Sekcji Muzykaliów Biblioteki Uniwersytetu Łódzkiego.

Wspomniana Sekcja to placówka znana dobrze łódzkim studentom oraz zawodowym muzykom. Jej muzyczne zasoby są w mieście najbogatsze. Samych nut — 25 tysięcy, w tym całość krajowej produkcji powojennej. Dużo też płyt, taśm. Nic dziwnego, że na brak frekwencji narzekać tu trudno.

Dwa lata temu zrodziła się w Sekcji nowa inicjatywa. Dotyczyła organizowania na terenie Biblioteki już nie tylko wystaw, odczytów i pogadanek, lecz także koncertów kameralnych. Dzięki nawiązaniu przez kustosza, mgr Krystynę Bielską, kontaktów z młodymi łódzkimi muzykami, akcja jest pomyślnie kontynuowana.

Warto przypomnieć, że ciekawie wypadła już pierwsza impreza (15.I.75). Miała tytuł „Pierwodruki nutowe XIX wieku w zbiorach BUŁ i ich odpowiedniki w nagraniach" (obok muzyki żywej prezentowano wówczas mechaniczną) i zawierała niebłahy akcent: prawykonanie odnalezionej we własnych zbiorach pieśni Stanisława Moniuszki „Śpiew Anny" do słów Józefa Kościelskiego. Zresztą również i dalsze spotkania mogły słuchaczy zainteresować.

Kolejny koncert, który wśród uniwersyteckich muzykaliów odbył się 25 stycznia br., wypełniły produkcje nowo powstałego kwintetu złożonego ze studentów i absolwentów łódzkiej PWSM a noszącego obcojęzyczną nazwę „The New Woodwind Quintett" (Izabella Sikorska — flet, Marek Karolak — fagot, Janusz Kopczyński — obój, Maciej Szproch — klarnet, Zbigniew Żuk — waltornia). Młodzi instrumentaliści odtworzyli 4 dzieła. Dwa pochodzące z epoki klasycyzmu (Kwintet g-moll Franza Danziego i Kwintet Es-dur Antona Reichy) oraz dwa XX-wieczne, skomponowane przez współczesnych twórców węgierskich starszej generacji, hołdujących tradycjom bartokowskim, co widoczne jest m. in. w inspiracjach folklorystycznych (Kwintet Endre Szervanszky'ego, Serenada Ferenca Farkasa). Członkowie zespołu, pracujący wspólnie dopiero od kilku miesięcy, potrafili wykazać się dyscypliną kameralistycznego muzykowania i trafnym odczytaniem emocjonalnych niuansów poszczególnych utworów. Koncert wywarł w całości pozytywne wrażenie a przyczyniło się do tego słowo wstępne dr Joachima Gudla.

Wiadomo, że muzyka kameralna, ceniona przez koneserów i profesjonalnych muzyków, nie cieszy się zbytnią popularnością w szerokich kręgach słuchaczy. Uważa się ją za trudną, nieprzystępną. Nie brak nawet pesymistycznych poglądów, że akcja upowszechniania tego gatunku sztuki jest wobec długoletniego zaniedbania i braku tradycji z góry skazana na niepowodzenie. A jednak najlepszą, jak się wydaje, odpowiedzią mogą tu być właśnie działania zmierzające do przełamania uprzedzeń oraz tworzenia nowych tradycji i zainteresowań. W działaniach tych ma ostatnio swój udział Biblioteka Uniwersytecka.

JANUSZ JANYST

PLASTYKA

SIERADZ LITERACKI

Tradycje literackie Ziemi Sieradzkiej sięgają okresu Odrodzenia. W dawnym województwie sieradzkim urodzili się wybitni pisarze tej miary co Andrzej Frycz Modrzewski, Marcin Bielski, Cyprian Bazylik.

Z obszaru obecnego województwa sieradzkiego wywodzi się kilku współczesnych literatów: Teodor Goździkiewicz (ur. 1903 w Dąbrowie Wielkiej k. Sieradza), Irena Jurgielewiczowa (ur. 1903 w Działoszynie), Janusz Teodor Dybowski (ur. 1909 w Zduńskiej Woli), Światopełk Karpiński (ur. 1909 w Łasku zm. 1940 w Wilnie), Stanisław Kaszyński (ur. 1927 w Warcie), Rafał Orlewski (ur. 1934 w Przybyłowie k. Łasku), Henryk Wolniak (ur. 1939 w Wierzchlasie k. Wielunia), Kazimierz Świegocki (ur. 1943 w Łopatkach k. Łasku), Ziemowit Skibiński (ur. 1945 w Poddębicach), Zdzisław Jaskuła (ur. 1951 w Łasku).

Z Ziemią Sieradzką — w pewnych okresach swej biografii — związani byli pobytem i pracą pisarską tacy twórcy literatury, jak Maria Konopnicka, Władysław Stanisław Reymont, Jerzy Wawrzak, Edward Kopczyński, Eugieniusz Iwanicki.

Już to pobieżne wyliczenie nazwisk autorów znanych powieści, tomów poezji i opowiadań, w których niejednokrotnie przewijają się motywy i krajobrazy sieradzkie, może być dla młodych adeptów literatury, tutaj kontynuujących twórczość, momentem inspirującym, niejako punktem oparcia w poszukiwaniach ich własnego stylu pisarskiej wypowiedzi.

„Sieradz literacki" — to pierwsze zbiorowe wystąpienie poetów i pisarzy zamieszkałych aktualnie w województwie sieradzkim. Są wśród nich autorzy legitymujący się własnymi książkami, zbiorami wierszy lub powieści — Zbigniew Adamski („Zapytać drzewa"), Ryszard Dominiak („Oczekiwanie"), Feliks Rajczak („Źrenica", „Gołąb i jabłko", „Jednostki uśmiechu").

Kilku sieradzkich twórców debiutowało wierszem lub opowiadaniem w prasie krajowej, posiada publikacje w almanachach o zasięgu ogólnopolskim — jak Walenty Jarecki, Kazimierz Jóźwiak, Stanisława Piasecka, Zdzisław Kupczyk, Władysław Potakowski, Czesława Graczykowska, Jerzy Antoni Rybczyński, Sławomir Kołodziejczyk. Wszyscy oni skupieni są w sekcji literackiej Klubu Pracy Twórczej przy Wojewódzkim Domu Kultury w Sieradzu. Żyją i pracują w miastach i gminach województwa sieradzkiego. Czy tworzą już środowisko literackie? Czy sprawdzą się i zaznaczą swój ślad w literaturze?

Są to pytania, na które odpowie niedaleka przyszłość.

(fr.)

KONKURS LITERACKI

Urząd M. Łodzi, Wydział Kultury, Związek Literatów Polskich Oddział w Łodzi oraz Wydawnictwo Łódzkie ogłosiły podczas Wiosny Artystycznej 1976 r. konkurs na dramat sceniczny, który rozstrzygnięty zostanie w tegorocznych Łódzkich Dniach Literatury.

W konkursie preferowane będą utwory o tematyce patriotycznej i obywatelskiej stojące na wysokim poziomie artystycznym. Ilość nadesłanych prac jednego autora jest nieograniczona. Utwory powinny być sporządzone w formie maszynopisu w trzech egzemplarzach oraz zaopatrzone w godło autora.

Przypominamy więc, że utwory należy nadsyłać do Łódzkiego Domu Kultury Biuro IX Łódzkiej Wiosny Artystycznej, 90-113 Łódź ul. Traugutta 18 z dopiskiem Konkurs Dramaturgiczny. Do tekstów powinna być dołączona koperta zawierająca godło autora oraz dokładny adres.

Termin nadsyłania dramatów scenicznych upływa z dniem 31 marca 1977 r. O terminie wpływu decyduje data stempla pocztowego.

Przewidziane nagrody:

I — 15.000 zł.
II — 10.000 zł.
III — 5.000 zł

Organizatorzy zastrzegają dla Sądu Konkursowego prawo nie przyznania nagród, bądź dokonania innego podziału nagród.

Skład Sądu Konkursowego zostanie podany w późniejszym terminie.

Uwaga Czytelnicy! Jeszcze do 15 lutego można nadsyłać kupony na nasz plebiscyt pn. „Łodzianie 1976".

Wśród głosujących Czytelników rozlosowane zostaną nagrody w postaci bonów towarowych o wartości:

I nagroda — 2500 zł
II nagroda — 1500 zł
III nagroda — 1000 zł
oraz pięć wyróżnień książkowych.

Wypełnione kupony prosimy przesyłać na adres naszej redakcji, z dopiskiem na kopercie: „Łodzianie 1976".

KUPON

Janusz Dunin . . . . . .
Andrzej F. Grabski . . . . . .
Tomasz Kiesewetter . . . . . .
Grzegorz Królikiewicz . . . . . .
Mieczysław Nowicki . . . . . .
Urszula Płażewska . . . . . .
Henryk Płóciennik . . . . . .
Jerzy Przybylski . . . . . .
Igor Sikirycki . . . . . .
Teresa Skoczylas . . . . . .
Imię i nazwisko . . . . . .
Adres . . . . . .
Zawód . . . . . .

Już po raz ostatni zamieszczamy nasz kupon na plebiscyt pn. „Łodzianie 1976".

Przypominamy, że wypełniony kupon z zaznaczonymi „x" trzema nazwiskami kandydatów należy nadsyłać na adres naszej redakcji do dnia 15. II. 1977 r.

Wyniki plebiscytu „Łodzianie 1976" podamy w marcu.

INFORMACJE

POLSKIE KSIĄŻKI ZA GRANICĄ

W każdym roku na półkach księgarskich różnych krajów ukazuje się ok. 300 pozycji polskich autorów. Jeśli w latach 1945—1965 przełożono na języki obce ponad trzy tysiące polskich książek, to w latach 1966—71 wydano w różnych krajach świata ponad dwa tysiące tytułów polskich autorów. Utwory polskich pisarzy można obecnie czytać w 70 językach.

Jednym z najchłonniejszych odbiorców polskiej literatury pięknej wśród państw Europy zachodniej jest Szwecja. W latach 1945—1970 przełożono na język szwedzki 35 tytułów 22 autorów polskich. W latach 1971—76 zawarto 22 umowy o wydanie w Szwecji książek autorów polskich, a w szwedzkich oficynach wydawniczych wydano w tym czasie 12 utworów pisarzy polskich.

Chyba najbardziej znanym z polskich pisarzy w Szwecji jest Stanisław Lem. Do popularności niektórych polskich książek przyczyniły się znane seriale telewizyjne: „Czterej pancerni i pies" Janusza Przymanowskiego, „Stawka większa niż życie" Andrzeja Zbycha.

Z kolei literatura skandynawska stanowi jeden z najbogatszych działów przekładowych w polskim ruchu wydawniczym. Świadczy o tym liczba ok. 40 tytułów wydawanych co roku. Wydawnictwo Poznańskie prowadzi od lat specjalną „Serię Dzieł Pisarzy Skandynawskich".

NOWY SERIAL W TV

W katowickim Studio TV powstaje wieloodcinkowy serial telewizyjny pod roboczym tytułem „Show z bohaterem". W kolejnych 50-minutowych odcinkach występują takie słynne postacie, jak Szwejk, Sherlock Holmes, Janosik, Casanova, porucznik Columbo, Don Juan, Don Kichot. Perypetie ich pokazane będą w konwencji „Pół żartem — pół serio" Gotowe są już odcinki poświęcone trzem pierwszym postaciom.

Autorami scenariusza są: katowicki literat Edmund Wojnarowski i dziennikarz TV Kazimierz Targosz. Całość serialu reżyseruje Antoni Halor. W głównych rolach wystąpią: Mieczysław Czechowicz, Kazimierz Brusikiewicz, Anita Dymszówna, Ewa Złotowska i inni.

CENNE ODKRYCIE

„Gazeta Południowa" informuje o odkryciu ponad 40 listów Kornela Makuszyńskiego. Od siostry żony pisarza, Haliny Zabierzowskiej otrzymał je przed dwoma laty mieszkaniec Tarnowa. Pochodząca z lat 1937—1950 korespondencja dotyczy nie tylko spraw rodzinnych (z Zabierzowską i jej mężem utrzymywał Makuszyński serdeczne kontakty), ale także twórczości pisarza. Obecny posiadacz listów, uważając, że powinny one znajdować się tam, gdzie służyć będą badaczom twórczości Makuszyńskiego, pragnie je przekazać we właściwe ręce. „Gazeta Południowa" proponuje, aby zostały przekazane Muzeum Makuszyńskiego w Zakopanem.

NOWY TOM WIERSZY MAKSYMA TANKA

Za wydarzenie w życiu literackim Białorusi uznano pojawienie się nowego zbioru wierszy Maksyma Tanka „Droga ukołysana żytem". Utwory te przeniknięte są tak charakterystyczną dla tego białoruskiego poety refleksyjnością, zadumą nad życiem, radościami i trwogami naszego czasu, ludzkimi celami i dążeniami.

Znany radziecki poeta Aleksander Prokofiew pisał, że Muza Tanka narodziła się w ogniu narodowo-wyzwoleńczej walki. W latach drugiej wojny światowej M. Tank, podobnie jak wielu innych pisarzy radzieckich był korespondentem frontowym.

Maksym Tank wiele podróżuje. Owocem zagranicznych wojaży było wiele utworów przepojonych ideami walki i humanizmu, m. in. „Gibraltar", „Ave Maria". Krytyka uznała je za dzieła wybitne.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji)
Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI–GLANC.

GOSPODARKA

200 MIL ŻEGLUGI PRZYBRZEŻNEJ

1 stycznia 1977 roku kraje należące do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej wprowadziły na Morzu Północnym i na wodach północno-wschodniego Atlantyku 200-milową strefę morską, w której łowienie ryb zostało zastrzeżone dla własnych rybaków, a w której rybacy innych państw będą mogli łowić na zasadzie specjalnych zezwoleń. Natomiast tego samego dnia Norwegia ustanowiła u swoich wybrzeży 200-milową strefę gospodarczą, uznając przeszło milion kilometrów kwadratowych wód morskich i dna morskiego za swój suwerenny obszar.

W styczniu 1977 roku szwedzki dziennik „Dagens Nyheter" doniósł, że również Szwecja nosi się z zamiarem ustanowienia 200-milowej strefy dla ograniczenia połowów ryb przez statki innych bander. Ustanowienie takiej strefy na Bałtyku sprawiłoby, że prawie połowa tego morza znalazłaby się pod szwedzkim panowaniem.

200 MIL

Przesunięcie jurysdykcji danego państwa czy grupy państw o 200 mil w głąb morza, oznacza w zasadzie przesunięcie wpływów tego państwa o 370 kilometrów w głąb morza, co wprawdzie w deklaracji niektórych państw odnosi się wyłącznie do roztoczenia opieki nad żywymi zasobami morza, ale co również może dotyczy i ewentualnych bogactw tkwiących pod dnem. Konwencja genewska z 1958 roku zezwala państwom przybrzeżnym na ustanowienie wód terytorialnych w pasie od 3 do 12 mil. Polska posiada pas wód terytorialnych o szerokości 3 mil, to jest 5 556 metrów. Konwencja genewska z 1958 roku zezwala w takim pasie na uprawianie kontroli celnej, sanitarnej, skarbowej i imigracyjnej, nie przyznaje natomiast prawa ochrony granic, chociaż wiele państw kres granicy wód terytorialnych traktuje jako granicę państwową, a wśród nich Polska, Francja, Włochy. Wiele państw skorzystało z możliwości, jaką stwarza konwencja genewska z 1958 roku i pas wód terytorialnych, zwanych też morskim pasem przyległym, rozszerzyły do 12 mil.

Nim jednakże doszło do pewnego unormowania zasad ustalania szerokości pasa wód terytorialnych, w **1945 roku** ówczesny prezydent USA, Harry Truman rozszerzył **jurysdykcję Stanów Zjednoczonych** na pas wód o szerokości 200 mil, uzasadniając to tym, że tyle wynosi zasięg radaru w linii horyzontalnej, co pozwala państwom przybrzeżnym na sprawowanie kontroli nad takim właśnie pasem wód. Ale Harry Trumanowi nie chodziło wówczas o ryby, ale o zasoby podmorskie zalegające w szelfie kontynentalnym. Strefę 200 mil dla wyłączności połowów amerykańskich rybaków **USA wprowadzą dopiero od 1 marca 1977 roku.**

Harry Trumanowi chodziło o podmorskie bogactwa, a jego naśladowcom — o ryby. 200-milowe strefy „zarezerwowane" dla własnych rybaków ustanowiły w latach pięćdziesiątych **Korea Południowa, Chile, Ekwador, Peru** a później **Argentyna, Panama, Nikaragua, Brazylia i Salwador.** W tym rejonie doszło nawet do pierwszej „wojny o ryby", 'ziedy to okręty wojenne Peru i Ekwadoru zaczęły zatrzymywać kutry rybackie z północnej części Ameryki. Była to wojna o tuńczyki, a już zupełną ironią było to, że w konflikt z państwami południowoamerykańskimi weszli rybacy z północnej Ameryki, gdzie po raz pierwszy ustanowiono 200-milową strefę rozszerzonej jurysdykcji.

„WOJNA DORSZOWA"

W 1951 roku Islandia postanowiła rozszerzyć swoje wody terytorialne z 3 do 4 mil, a w **1958 roku — do 12 mil.** Kolidowało to z interesami rybaków brytyjskich. Wybuchł pierwszy spór o dorsze. Drugi wybuchł wtedy, kiedy Islandia swoje wody terytorialne rozszerzyła **do 50 mil,** a już naprawdę zakotłowało się, kiedy Islandia w październiku 1975 roku ustanowiła 200-milową strefę. Brytyjskich kurtów rybackich strzegły fregaty marynarki wojennej Jej Królewskiej Mości. Doszło do wymiany strzałów z islandzkimi łodziami patrolowymi. Doszło do zerwania stosunków dyplomatycznych. Zawierano wprawdzie tymczasowe porozumienia, w myśl których brytyjscy rybacy mogli łowić pewne ilości dorsza na islandzkich wodach, ale w gruncie rzeczy szanse na pomyślne dla Anglii zakończenie „wojny dorszowej" były minimalne, tym bardziej, że godziły w interesy NATO.

W końcu ubiegłego roku stało się jasne, że trudno będzie dojść do porozumienia w sprawie dorszy między Londynem a Reykjavikiem. Wtedy to Henry Kissinger na posiedzeniu rady ministerialnej NATO, która obradowała w Oslo, postawił sprawę jasno i niedwuznacznie: chodzi o bazę Keflavik i dla dobra interesów NATO Brytyjczycy muszą ustąpić. Dla Wielkiej Brytanii, która kiedyś panowała na morzach świata, była to klęska również prestiżowa. Była to klęska mimo tego, **że od 1 stycznia 1977 roku wszystkie dziewięć krajów EWG ustanowiły podobną strefę dla połowów ryb.** Wprawdzie rybacy z krajów EWG mają praktycznie nieograniczone możliwości połowów w tej strefie, ale rybacy brytyjscy tracą wyłączność na swoich wodach przybrzeżnych.

W czasie negocjacji nad ustaleniem 200-milowej strefy połowów EWG **Wielka Brytania i Irlandia wystąpiły z żądaniem utworzenia 50-milowej strefy wewnętrznego i wyłącznego uprzywilejowania wokół ich krajów.** Miały to być strefy połowów zastrzeżone tylko dla rybaków brytyjskich i irlandzkich. Pozostałe kraje EWG nie zgodziły się na te żądania, ustanawiając dla Wielkiej Brytanii tylko 12-milową, tymczasową strefę wyłącznych połowów. Obowiązywać ma ona jedynie do 1982 roku.

A więc już w 1983 roku kutry innych członków EWG będą mogły łowić ryby tuż u brytyjskich plaż. Dla Brytyjczyków jest jasne, że wtedy znacznie zmniejszy się ilość łowionych przez nich ryb, a to nie przyczyni się do poprawy sytuacji gospodarczej kraju, tym bardziej, że strata jednego miejsca pracy na morzu pociąga za sobą likwidację 8 miejsc pracy na lądzie. A zmniejszenie połowów nieuchronnie oznacza zmniejszenie liczby rybaków.

Natomiast **Islandia** po utworzeniu 200-milowej strefy połowów EWG znalazła się w znacznie lepszej sytuacji. EWG bowiem ograniczając bądź zakazując połowów ryb kutrom innych bander niż bandery członków wspólnoty, pragnie prowadzić negocjacje na temat zezwolenia na łowienie ryb na zasadach wzajemnej wymiany. Między Islandią a krajami EWG trwa poza tym szeroka wymiana handlowa. Islandia eksportuje ryby i przetwory rybne do krajów EWG, a z krajów tych pochodzi znaczna część islandzkiego importu. Są więc podstawy do zawarcia wzajemnej umowy.

W stosunku do innych krajów, a w tym do ZSRR, Polski i NRD, których kutry łowiły na wodach obecnie objętych 200-milową strefą połowów, EWG ustanowiła kwartalne limity na ten rok. Są to limity ilości kutrów, które mogą jednocześnie znajdować się w strefie 200 mil wód EWG oraz ilości ryb, które można złowić w ciągu kwartału. Takie limity wprawdzie wyznaczono dla kutrów ZSRR, Polski i NRD, ale problem w tym, że żadne z wymienionych państw nie utrzymuje stosunków z EWG, a poza tym EWG nie odpowiedziała — jak do tej pory — na propozycje RWPG dotyczące wzajemnych stosunków i współpracy. Wytworzyła się więc sytuacja dość skomplikowana, w której nie wiadomo kto z kim ma pertraktować, jakkolwiek wszyscy deklarują chęć zawarcia odpowiednich porozumień.

NORWESKIE WODY

„Z chwilą nastania roku 1977 Norwegia przejęła prawo eksploatacji zasobów na obszarach morskich trzykrotnie większych niż lądowa powierzchnia kraju" — napisał w „Arbeiderbladet" Bjoern Hansen. Norwegia bowiem nie tyle utworzyła 200-milową strefę połowów, co **200-milową strefę gospodarczą,** ogłaszając tym samym suwerenność nad wodami, ich zasobami oraz bogactwem spoczywającym na dnie morza i pod jego dnem.

31 maja 1963 roku Norwegia ustaliła swoją suwerenność nad szelfem kontynentalnym. Przy czym suwerenność Norwegii nad dnem morskim przylegającym do wybrzeży Norwegii rozciągała się tak daleko, na ile głębokość morza pozwala na eksploatację bogactw znajdujących się pod tym dnem, ale nie dalej niż poza linie środkowe morza znajdującego się między Norwegią a innymi krajami.

Można powiedzieć, że Norwegia postawiła sprawę jasno. Ryby rybami, ale nie zapominajmy o bogactwach, jakie kryją się pod dnem morskim. Norwegia postawiła sprawę jasno, bowiem świadoma jest dokonanych odkryć, a chodzi o złoża Ekofisk, Frigg i Statfjord. Wiadomo więc, że jest nafta, ale co jeszcze kryją dna morza? Na wszelki wypadek trzeba i o tym myśleć.

Byłoby jednak błędem sądzić, że ryby w przypadku Norwegii odgrywają znikomą rolę. Przede wszystkim rybacy norwescy łowią około 80 procent wszystkich ryb u swoich wybrzeży. I oto, poza tradycyjnie łowiącymi u wybrzeży Norwegii Brytyjczykami czy innymi rybakami północnej części z Europy, pojawili się tutaj rybacy z Hiszpanii, Portugalii, a nawet z Panamy. Ciągnie ich tu norweski dorsz arktyczny, bardzo wartościowa ryba. Norwegia stanęła więc na stanowisku, że — po pierwsze — trzeba chronić dorsza arktycznego przed nadmiernym przetrzebieniem, a po drugie — chronić interesy własnych rybaków i tych, z którymi Norwegia mogłaby zawrzeć korzystne porozumienia, a więc między innymi z Brytyjczykami i rybakami ZSRR.

PRZED OSTATECZNYM UREGULOWANIEM

10 grudnia 1976 roku dekretem Rady Najwyższej ZSRR wprowadzona została również wzdłuż wybrzeży Związku Radzieckiego 200-milowa strefa ograniczonych połowów ryb. Wewnątrz tej strefy pozostaje 12-milowa strefa wód terytorialnych ZSRR. Rząd radziecki traktuje to posunięcie jako **tymczasowe,** do momentu prawnego uregulowania w skali międzynarodowej problem przynależności wód morskich i oceanów oraz ich dna. Problemem tym zajmuje się Konferencja Prawa Morza działająca pod auspicjami ONZ. Związek Radziecki wyraźnie zastrzega, że ustanowienie 200-milowej strefy ograniczonych połowów ryb dotyczy tylko ryb i innych żywych zasobów morza i ma na celu ich ochronę. Państwa, które chciałyby łowić w obrębie radzieckiej 200-milowej strefy będą otrzymywały zezwolenia oparte **„na podstawie informacji naukowej a w niektórych przypadkach po uwzględnieniu zaleceń kompetentnych organizacji międzynarodowych".**

Utworzenie radzieckiej strefy 200-milowej wywołało zdziwienie zachodnich ekonomistów oraz zaniepokojenie rybaków Japonii, Korei Południowej i Danii. Zaniepokojenie rybaków jest zrozumiałe, gdyż oznacza dla nich pewne ograniczenia w połowach ryb. Dla Duńczyków na przykład łososia. Ale Związek Radziecki nie odmawia rozmów na temat zezwolenia na połowy ryb w swojej 200-milowej strefie. Takie rozmowy między innymi podjęli już Norwegowie. Dlaczego natomiast dziwią się ekonomiści zachodni?

„Literaturnaja Gazieta" komentując radziecką decyzję przypomniała, że ZSRR stał na stanowisku, że dla wielu państw, dla ochrony ich praw wystarczy 12-milowa strefa przybrzeżna, natomiast państwom rozwijającym się można przyznać prawo do 200-milowej strefy przybrzeżnej, aby tym stworzyć im dogodniejsze warunki rozwoju gospodarczego. Jednakże w sytuacji, kiedy również wiele państw wysoko uprzemysłowionych ustanawia strefy gospodarcze i dla ograniczenia połowu ryb w pasie 200 mil, Związek Radziecki czuje się w obowiązku uczynić to samo, zwracając jednakże uwagę na konieczność ostatecznego rozwiązania problemu morza, jego podziału i ustanowienia przede wszystkim statusu międzynarodowego dla obszarów mórz i oceanów. Ostatecznego rozwiązania wymaga też ściśle wytyczenie zewnętrznej granicy szelfu kontynentalnego. A to wszystko nie może naruszać jednocześnie swobody żeglugi, lotów powietrznych i badań naukowych.

Sprawa, jak z tego widać, nie jest łatwa. Konferencja Prawa Morza ONZ zbierała się już trzykrotnie, regulując jednakże niektóre sprawy mniej skomplikowane. Do zawarcia ostatecznych decyzji, które uregulowałyby problem morza, droga jeszcze daleka. A trzeba ją koniecznie przebyć. Zbyt wiele nazbierało się już problemów spornych, a wszystko wskazuje, że będzie ich znacznie więcej.

GDZIE SIĘ KOŃCZY SZELF?

W 1970 roku ONZ przyjęło zasadę, że dno mórz i oceanów oraz bogactwa, jakie się pod tym dnem znajdują stanowią **„wspólne dziedzictwo ludzkości".** Problem tylko w tym, od którego momentu zaczyna się owo **„wspólne dziedzictwo ludzkości"?** Norwegia, ustanawiając w 1963 roku swoją suwerenność nad szelfem kontynentalnym, przyjęła zasadę wykorzystania, czyli że szelf tam się kończy, gdzie kończy się ludzka możliwość eksploatacji bogactw dna morskiego. Ale zasada ta w świetle rozwoju techniki stwarza możliwość nieustannego przesuwania w głąb granicy szelfu kontyntalnego. Wiadomo już na przykład, że w Zatoce Meksykańskiej prowadzi się wiercenia w odległości 150 km od brzegu i na głębokości do 1 500 metrów. Powszechnie uważa się, że wiercenia na głębokość do 200 metrów zostały już technicznie w pełni opanowane i są nieustannie doskonalone. Spod dna morskiego wydobywa się już nie tylko ropę naftową i gaz ziemny, ale też węgiel, rudy żelaza i miedzi, siarkę, fosforyty.

Szelfem nazywa się przybrzeżny pas dna morskiego o głębokości do 200 metrów. Szelf jest przedłużeniem powierzchni lądowej. Coraz więcej państw chce nie tylko sprawować suwerenne prawa nad swoim terytorium, ale również nad szelfem. Konwencja genewska z 1958 roku nie zdefiniowała granicy szelfu, uznając, że nie powinna ona przekraczać 200 m głębokości wody, ale jeśli istnieją warunki dla eksploatacji bogactw naturalnych poza tą granicą, to można w tym wypadku i ten obszar zaliczyć do szelfu kontynentalnego. Przyznano wtedy państwom prawo do prowadzenia badań naukowych i wydobywania bogactw naturalnych w granicach szelfu, nawet, jeśli takich prac nie mogą prowadzić. Gdyby jednak kto inny chciał to robić, to musi uzyskać zgodę suwerennego posiadacza szelfu. Ale wody nad szelfem pozostawały w myśl konwencji genewskiej z 1958 roku — poza strefą do 12 mil — otwartym morzem. Teraz sytuacja się zmieniła, kiedy wiele już państw ustanowiło 200-milowe strefy przybrzeżne. Zmieniła się o tyle, że już nie tylko szelf kontynetalny, ale i woda nad nim w obrębie 200 mil podlegają jurysdykcji państwa nadbrzeżnego.

Rok 1977 rozpoczął się więc od decyzji dotyczących wprawdzie morza, ale skutki tego odczuje się również na lądzie i to nie tylko wtedy, kiedy te czy inne kutry powrócą z mniejszą ilością złowionych ryb. Będą te decyzje miały odbicie w stosunkach między różnymi państwami. Ale może tym prędzej przystąpi się do pokojowego uregulowania w tej dziedzinie wielu spornych kwestii, co nie będzie pracą łatwą, ale wydaje się być konieczną.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Foto: Archiwum

NIE TYLKO HISTORIA

OBLICZE FfaszyzmU

Wśród licznych książek o faszyźmie praca Renzo De Felice zajmuje miejsce szczególne. Znakomity znawca problematyki powstrzymał się od wyraźnego sformułowania własnego sądu o zjawisku faszyzmu w dziejach Europy naszego stulecia. Obrał za cel swej pracy krytyczną analizę sądów dotychczas wypowiedzianych: zajął się rozlicznymi interpretacjami faszyzmu, jakie powstały poczynając od lat dwudziestych po czasy już zupełnie nam współczesne. Siedząc w ten sposób różnokierunkowe i bardzo zróżnicowane wysiłki intelektualistów z wielu krajów, starających się każdy na inny sposób określić charakter zjawiska faszyzmu, uświadomił czytelnikom ogrom trudności, przed jakimi stoi historyk czasów najnowszych, kiedy ma w sposób w pełni uzasadniony naukowo wydać sąd o zjawisku, o którym każdy człowiek współczesny wie niemało i które w umysłach ludzkich doczekało się już może nie zawsze precyzyjnej, ale rzeczywistej oceny.

Książka „Interpretacje faszyzmu" ogłoszona nakładem Czytelnika (1976) w polskim przekładzie, doczekała się od 1969 r., kiedy to pojawiła się po raz pierwszy, wielu wydań i tłumaczeń. Jest ona jedną z niewielu w literaturze światowej — jak podkreśla autor przedmowy do wydania polskiego, znany historyk Jerzy W. Borejsza — „prób przedstawienia, jak kształtowały się pojęcia o faszyzmie, jego uwarunkowaniach i sukcesach. Racje to wystarczające, aby udostępnić ją czytelnikom polskim". Zapewne katalog zanalizowanych przez R. De Felice „interpretacji", choć bardzo obszerny, mógłby zostać jeszcze rozszerzony. Słusznie zauważono, że książka zawiera nieco luk, szczególnie w odniesieniu do piśmiennictwa marksistowskiego, że bariery językowe uniemożliwiły włoskiemu uczonemu wykorzystanie literatury niektórych krajów i tak dalej. Najzasadniej też J. W. Borejsza zaznacza, że polski czytelnik nie ze wszystkim będzie się mógł pogodzić, co się tyczy autorskich interpretacji analizowanych przezeń poglądów, że niekiedy sugerowane przez włoskiego badacza oceny można poddać w wątpliwość. Nie to jest tu jednak najważniejsze. Każda tego rodzaju praca narażona byłaby na podobne zarzuty, bowiem historyk takiego zjawiska jak faszyzm nie dysponuje faktycznymi możliwościami przeczytania wszystkiego, co o faszyźmie dotychczas napisano. Nie może też — nawet przy największej powściągliwości — powstrzymać się od formułowania sądów i ocen, które dla wielu mogą być dyskusyjne.

Jest niedobrą manierą naszej historycznej krytyki wytykanie zagranicznym autorom, że prezentują inny punkt widzenia, niż my i najczęściej nie znają naszego piśmiennictwa. Trzeba się wreszcie pogodzić z oczywistym faktem, że język polski, podobnie jak bardzo wiele innych języków europejskich, nie ma światowego zasięgu, a zatem pisanie jedynie i wyłącznie po polsku z góry ogranicza krąg odbiorców. Przejrzyjmy przypisy w dziełku R. De Felice: ileż cytuje on tytułów prac angielskich, francuskich czy niemieckich, przetłumaczonych na język włoski! Ile razy powołuje się na włoskie dzieła naukowe, tłumaczone na któryś ze znanych języków! Włosi już dawno zrozumieli, że ze swym jakże starym i pięknym językiem, acz pewnie znanym lepiej niż polski, na świat nie wyjdą. Więc nie czekają, by świat nauczył się po włosku i inspirują tłumaczenia swych prac na bardziej znane języki. Nie czekają też, by Włosi sami nauczyli się innych języków: więc wiele tłumaczą z obcej literatury historycznej. I chociaż historiografia włoska nie we wszystkich dziedzinach ma rzeczywiście wiele do powiedzenia, jest ona całkiem nieźle znana poza Półwyspem Apenińskim.

Rozgrzeszyłbym więc włoskiego autora z tego, że nie uwzględnił on zupełnie polskiego piśmiennictwa o faszyźmie, chociaż nasza literatura ma w tej sprawie wcale niemało do powiedzenia. Sami skazujemy się na to, by nas ignorowano, skoro pisujemy i drukujemy tylko po polsku. Przyklasnąłbym J. W. Borejszy, który wyraził nadzieję, że książka R. De Felice „pobudzi może naszych historyków do sporządzenia przeglądu polskich interpretacji faszyzmów, poczynając od roku 1920 po dzień dzisiejszy", bowiem „luka w naszej historiografii w tej dziedzinie jest bardzo widoczna". Dodajmy tu, że nie tylko w tej; także w innych dziedzinach, wcale znów nie tak błahych.

Praca R. De Felice stanowi przykład dzieła, jakich w ogóle mało w historiografii współczesnej. Studia nad interpretacjami wielkich wydarzeń, historycznych postaci, zjawisk społeczno-politycznych wciąż zbyt rzadko podejmowane są przez historyków. Nie tylko u nas, ale w ogóle w świecie. Byłażby to spuścizna po tej zdawałoby się zarzuconej już tradycji, zgodnie z którą liczyły się „fakty", a nie interpretacje? Jak gdyby owe interpretacje nie były również faktami historycznymi, tylko odmiennego rodzaju? Książka R. De Felice skłania do myślenia zarówno o zjawisku faszyzmu, jak i stylu uprawiania badań historycznych. Prowokuje do myślenia, nieraz nawet do sprzeciwu. Rezygnuje z pouczania i ferowania wyroków raz na zawsze. I to właśnie najlepiej chyba świadczy o jej wysokiej wartości.

ANDRZEJ F. GRABSKI

HENRYK CZARNECKI

SPOTKANIA

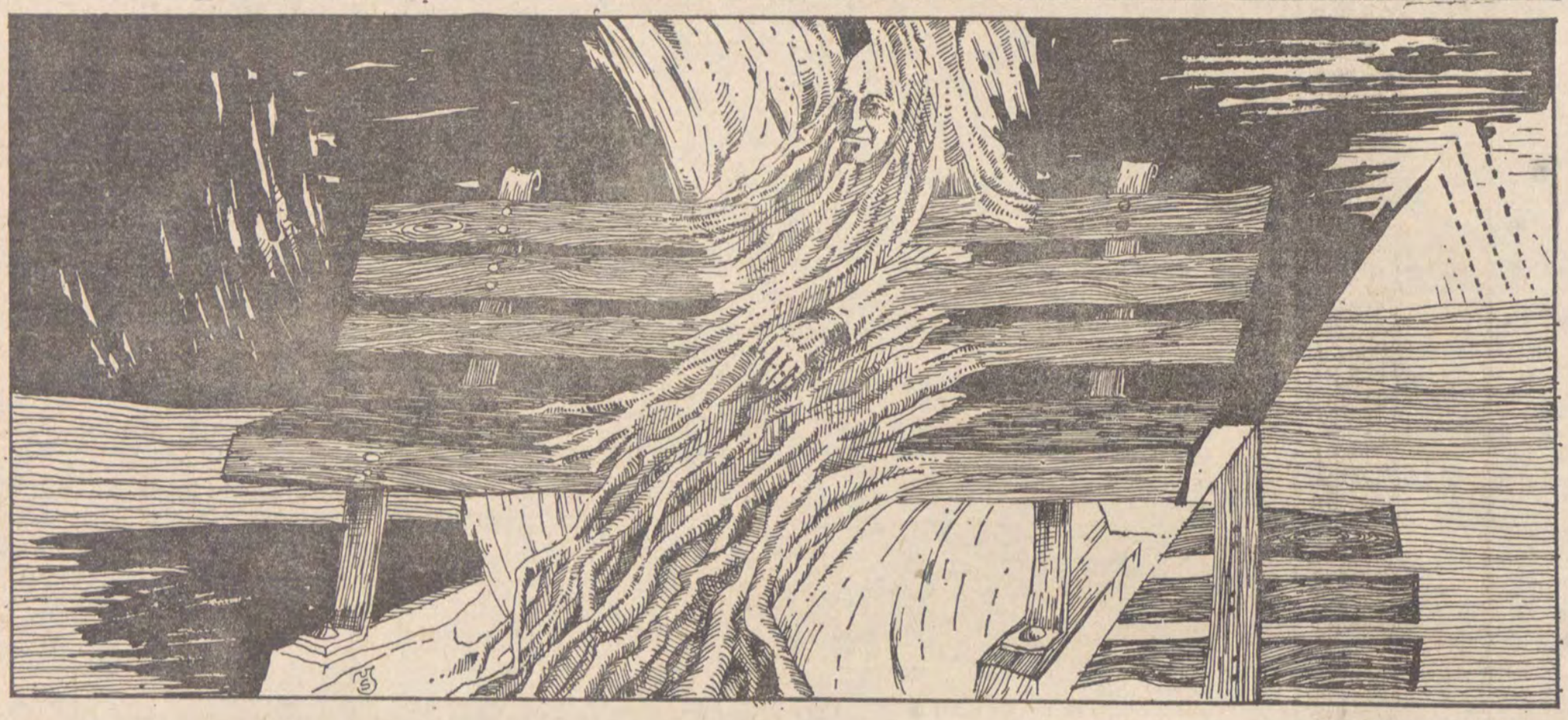

Ryś. Janusz Szymański-Glanc

Na imię mi Jerzy. Albo Andrzej. A może jeszcze inaczej? Nie o mnie tu przecież chodzi. Nie o nią. Także nie o nas.

Wiek też nie odgrywa już roli. Byle tylko nie miał zaokrąglonego brzuszka i wypchanej kieszeni. By kłamstwo mogło wyglądać na prawdę. By prawda była urocza jak kłamstwo.

Spotkałem ją w górach. Albo nad jeziorami. Pewnie jednak nad morzem. Tyle jest miejsc, gdzie można się spotkać po raz drugi. Bo wszystkie pierwsze spotkania są przecież do siebie podobne. Zmieniają się tylko imiona, nazwy, miejsca, wymiary. Wszystkie są jednakowo ważne i jednakowo nudne w opowiadaniu. Raz zaczynają się od lewego palca, raz od prawego, innym razem obejmuje się je pełną garścią, aby wypadły z niej potem jak rozsypane koraliki.

Spotkałem ją zimą. Snieg układał się wierszem na jej rzęsach.

A może to było latem?

Najpewniej jednak jesienią. Gdy liście jak wiewiórki latają z drzewa na drzewo. Siada się wtedy na ławce, odpoczywa...

Byłem wtedy malarzem. Albo poetą. A może komponowałem oratorium na parkowe organy zrobione z drzew i wiatru? I barw, które się już nieco zatarły?

Albo list tylko pisałem. Jak każdy przebywający daleko. Są przecież listy, których się nie wysyła. Są jednak i listy, które się wysyła, chociaż się ich nie pisze.

Stanęła nagle przede mną.

— Co tutaj robisz? — spytała.

— Piszę.

Zerknęła mi do notatek.

— Widzę, że nie potrafiłeś mnie jeszcze zapomnieć.

— Nie mówmy o tym, Nino.

— Masz rację. Lubię rozstawać się w zgodzie i w odpowiedniej chwili. Czy tak nie prościej? Jak widzę z notatek jesteś nawet bohaterem swego własnego dramatu.

Uśmiechnęła się, a potem powiedziała w tonacji tego samego uśmiechu.

— Być bohaterem swego własnego dramatu to swego rodzaju przyjemność. A ludzie smutni, to ci, którzy się uśmiechają. Ze strachu — dodała jakimś niesamowitym głosem.

— Skoro już jesteś, chciałbym wrócić jeszcze do naszych spraw, Nino.

— Po co? Do żadnych spraw nie powinno się wracać. Zwłaszcza, gdy nie istnieją. Każdą rzecz powinno się traktować jako oddzielną całość. Koniec zdania, kropka. A pomników też stawiać nie trzeba.

Usiadła obok i zapaliła papierosa.

— Pomówmy raczej o dzisiaj. Dawno tu jesteś?

— Mówienie o dzisiaj łączy się...

— Nic się nie łączy — stwierdziła kategorycznie. — Nie powinno się nic łączyć. Potem trudno to podzielić. Nie lubię matematyki.

Tak. Wtedy też miała humanistyczne zainteresowania. Bez zbytecznych obliczeń: wszystko było proste, naturalne, urocze, naiwne prawie jak poranek na wiosnę.

— Tyle było twoich słów, pamiętasz? Mówiłaś, że my przecież nie możemy się rozstać, że...

— Umiałam być miłą, prawda?

— Tylko umiałaś.

— Czy to nie wiele? Kochałeś mnie, też mówiłam ci to samo, byłeś szczęśliwy. Pomyśl! Być przez cały miesiąc szczęśliwym. Do tego ładna pogoda. Przecież to w sumie ogromnie dużo. Nie można wciąż żyć na szczycie. To właśnie tam zaciera się siła doznań, skoro wszystkie są zawsze najważniejsze. Szczyty gór jeśli zlewają się w jedną górę, stają się również równiną.

— Ale...

— Nikomu nigdy nie ofiarowałam tak wiele.

— I dlatego nie potrafię cię zapomnieć. Zbyt silnie siedzimy jeszcze na naszej ławce w parku. Karmiliśmy się truskawkami, pamiętasz?

Coś się w niej poruszyło, wypadło. A może to tylko spadły jej włosy? Na chwilę.

— Jeśli więc nie zapomniałeś — masz wspomnienia. To też się liczy. Może nawet przede wszystkim? Bo rzeczywistość w czasie swego trwania jest i tak nieuchwytna, trudno dostrzegalna. Człowiek zajęty czasem teraźniejszym nie ma czasu by na niego popatrzeć. A wspomnienia — jak fotografie. Można je oglądać. Długo oglądać. I mają jeszcze tę przewagę nad fotografiami, że nie żółkną, że można oglądać je nawet o zmroku... Tam właśnie powiedziałam ci, że cię kocham. Widzisz, jak wiele pamiętam?

— To dobrze, że pamiętasz. Bo jeśli już wspomnień zabraknie, to znaczy, że i rzeczywistości nie było, lub... szkoda, że była, skoro nic po niej nie zostało.

— I czekaliśmy na pociąg, który, jak się okazało, nigdy tamtędy nie jeździ. To była taka... zapomniana linia kolejowa. Ale było dobrze. Jak na zapomnianej stacyjce gdzieś w życiu. Są takie stacyjki, tylko... nie można pozostawać wciąż na nich. Najwyżej bawiąc przejazdem.

— I to wszystko było kłamstwem...

— Nie! Wtedy było prawdą. Może niezupełnie, może czymś nawet więcej...

— Nie rozumiem.

— A czy koniecznie trzeba wszystko zawsze rozumieć?... Należy przyjąć, po prostu, w takiej formie, w jakiej jest. A jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, to lubię być czasami zaczarowana. Ale nie zakochana. To zbyt kosztowne.

— Myślisz tylko o sobie.

— A o kim? Nikt nigdy nie miał czasu myśleć o mnie. Musiałam więc nauczyć się robić to sama.

Ten grymas ust, zwężenie warg. Pamiętam: błysnął mi kiedyś między górami. Ale trwał tak krótko, że nie zdążyłem go nawet zauważyć.

— To nie była tylko przygoda, Nino.

— Szkoda. Ty zawsze musisz wszystko popsuć. Nie umiesz odjeżdżać z wakacji.

— Przemawia przez ciebie gorycz. Nie znam jej powodów, ale...

— Ja też ich już nie pamiętam. Nieważne.

— Pomogę ci o nich zapomnieć.

— Nie lubię, gdy ktoś mi pomaga.

— Obudź się, Nino. Ocknij się z chorego snu. Spróbujmy zacząć żyć od początku.

Zaczęła się śmiać. Tym wąskim śmiechem ust. Tak śmieją się ludzie, którzy albo już wszystko przegrali, albo siadają do gry ze znaczonymi kartami.

— A czy ty myślisz, że ja nie żyję? I jestem już wolna od wszelkich balastów.

— Sama?

— No to co? Rodzinne ciepło, to jak popsuty kaloryfer. Albo czysto i zimno, albo grzeje i cieknie.

— To przecież niemożliwe, Nino. Spotkaliśmy się znów niemal cudem i...

— Możliwe. Ja ciebie przecież nie kocham.

☆ ★ ☆

Na imię miał Andrzej. Albo Jerzy. Albo jeszcze inaczej.

Nie. Nie wiem, kim on jest. Poeta? Malarz? Ratownik na plaży?

Ale wiem, że jest. Że był. Zajmował wyjątkowe, bo pierwsze miejsce. A pierwszy rząd w piekle jest tuż po ostatnim w niebie. Czasami trudno to nawet rozróżnić, bo rzędy są nie numerowane. Zwłaszcza, gdy się jest dopiero po maturze. Wtedy wszystko jest prawdą. Bo pierwszy raz nigdy się nie kłamie. I wszystko przyjmuje się za prawdę.

— Babeczka z piasku.

— Nie. Muszelka znaleziona na plaży.

— Fajnie. Muszelki jeszcze nie było.

— Tylko koty?

— Żadne koty już się nie liczą. Jesteś teraz moją muszelką.

— Naprawdę?

— No wiesz... Zostaniesz dłużej w Sopocie?

— To będzie zależało.

— Od czego?

— Zgadnij.

— Wal prosto z mostu. Życie jest krótkie i szkoda czasu na zagadki. Grają. Pobrykasz?

— Za chwilę. Wiesz?... Podobno tylko raz w życiu jest dobrze.

— Kiedy?

— Nie wiem. Może właśnie teraz? A może gdy po raz pierwszy jest dobrze?... Nie mów przez chwilę nic. Muszę sobie pomyśleć... Już.

— Co wymyśliłaś?

— Nic.

— To po co myślałaś?

— Jak to „po co"? Żeby to uczcić. Jak jest tak bardzo, bardzo dobrze, to chociaż przez chwilę musi być cicho. Zupełnie cicho. Żeby to „bardzo dobrze" było lepiej słychać.

— Skomplikowane... Ty tak to jakoś... boczkiem, a ja, to wiesz... co w głowie, to w garści, po prostu, bez cudów, kapujesz?... Bez tych wiesz, zawijasów. Wiesz? Chciałbym wyratować cię z morza!

— Wyratuj!!!

— No właśnie. Ale się przecież nie topisz.

— Skąd wiesz?... Patrz! Stolik numer czternaście. Szalenie lubię tę liczbę

— Dlaczego?

— Nie wiem. Lubię i już. Lubisz swój dom?

— Pokój?

— Nie. Dom... A chciałam jechać do Zakopanego.

— Ale nie pojechałaś.

— Już w pociągu wiedziałam, że spotka mnie tu coś miłego.

— Naprawdę?

— Że będą to moje najładniejsze w życiu wakacje. To dobrze, prawda? Jesteś dobry?

— Bo ja wiem... Ale teraz wszystko się zmieni. Na pewno... Kochałaś już kogo.

— Aha!

— Kogo?

— Ciebie. Już wczoraj. Od siódmej... Ja jestem jeszcze strasznie głupia, prawda?

— Cudowna!

— Już się ze mną kłócisz? Jak mówię, że głupia, to głupia. Wszystko mi się teraz myli. O tu. Ale to strasznie przyjemnie, gdy się tak wszystko myli. Kocham twoją koszulkę, zabrudzone paznokcie też kocham, i dziurkę od klucza. Komu się kłaniasz?

— Znajoma. Podkochiwała się we mnie w ubiegłym roku.

Nina odwróciła głowę w kierunku drzwi.

— Mama!...

Miała odwagę decyzji i nieumiejętność życia. I Ninę, którą umieściła w internacie.

Ginęła przywalona swą własną siłą i intensywnością doznań, które ściskała w mocno zaciśniętej dłoni, aby na dłużej zostało. A gdy ją otworzyła — nic z niej już nie wypadło.

— Mama!... Też w Sopocie?

— Też. Usiądź na chwilę.

— Nie przypuszczałam, że tu się spotkamy.

— Ty palisz?

— Nie wiedziałaś... Ach prawda. Nie widziałyśmy się już tak dawno.

— Skąd go znasz?

— Kogo?

— Dana... To jest... no, tego ratownika.

— Mama też go zna?

— Poznałam go kiedyś przypadkowo.

— Mama ma obszerne znajomości. Gratuluję.

— Twoja sympatia?

— Może.

— To nie jest towarzystwo dla ciebie.

— Dlaczego? Przynajmniej starszy ode mnie, a nie odwrotnie.

— Co to ma znaczyć?

— Zaraz wszystko musi coś znaczyć? Nic.

— Pisał mi ojciec, że zdałaś maturę.

— Tak, mamo.

— I co dalej?

— Jeszcze się nie zastanawiałam. Jak się zdecyduję, to ci napiszę. Naprawdę cię to interesuje?

— Jestem twoją matką.

— Mów ciszej, żeby ktoś nie usłyszał, że masz już taką dorosłą córkę.

— Nie umiesz rozmawiać ze mną inaczej?

— Umiem. Proszę, zadawaj pytania.

— Muszę z tobą koniecznie pomówić. Wyjaśnić.

— Nie jestem zazdrosna. Nie musisz się tłumaczyć.

— Operujesz jakimiś aluzjami, nie rozumiem o co ci chodzi. W ogóle nie mogę cię poznać.

— Raczej nigdy mnie przecież nie znałaś. Nie miałaś czasu. Nieważne... Chciałaś mnie pewnie zapytać, czy Dan nie wspominał mi o tobie. Nie, nie wspominał. Zadowolona już jesteś?

— Po co aż tyle ironii... Chcę cię, po prostu, ostrzec przed nim.

— Po co? Mnie przecież nie rzuci jak ciebie. To moja rola. Rzucać... Mam go dziś mamie do zawdzięczenia. Dziękuję. Nie skorzystam z rodzinnego spadku... Ty mi przecież zawsze wszystko zabierałaś. A dzisiaj — złudzenia. Wiedziałam, że miał przygody, że... Ale teraz, gdy wiem, że ty... po tobie... Idź stąd! Czemu zjawiasz się na mojej drodze? Czemu mnie prześladujesz swoją osobą? Idź stąd! Czego chcesz ode mnie? Czy nie widzisz, że nie mam już nic?!

— Nie jestem szczęśliwa, Nino.

— To dziwne. Nie liczyłaś się przecież nigdy z nikim. Robiłaś wszystko, by tobie, tylko tobie, było dobrze.

— Los...

— O jakim ty mówisz losie? Co w ogóle znaczy to słowo? Przecież to ty kierowałaś swoim życiem. Tyle wciąż wrażeń. Tyle razy powtarzana młodość...

— Jestem sama. Przeraźliwie sama.

— Tak. To przychodzi z wiekiem.

— Mam tylko ciebie.

— Mnie!?

— Jesteś moją córką.

— To prawda, że mnie urodziłaś... I nagle przypomniałaś sobie o tym i szukasz teraz we mnie oparcia?... Ale ja jestem młoda. I mnie niepotrzebne jest już żadne oparcie. Dom... To chyba coś takiego miękkiego, ciepłego. Nie wiem. Nie pamiętam. Wszystko było już dawno.

— Słuchaj, Nino. Zaczniemy znów wszystko od początku. Zamieszkamy razem. I tu, i w Krakowie.

— Po co? Żeby ci odbijać kochanków!?

— Uspokój się.

— Nie chcę się uspokoić, nie chcę. Muszę ci wszystko powiedzieć.

— Dobrze. Pomówimy jutro.

— Dziś. Jutro wyjadę. Nie chcę tu być ani chwili dłużej. I nigdy już nie chcę się z tobą spotkać.

— Nie mów tak. To boli.

— Nikt mnie nie uczył czułości... My jesteśmy przecież dwie obce sobie kobiety. I cóż ty wiesz o mnie? Nic. Najwyżej to, że jestem już po maturze. I o czym mamy z sobą rozmawiać? O czym?... Nie przywykłam do zwierzeń. I nauczyłam się radzić sobie we wszystkim sama. I właśnie dziś chcę ci o tym powiedzieć. I to, że nie potrzebuję już twoich pieniędzy. Idę do pracy i na studia zaoczne. Odpadnie ci więc i ten jedyny obowiązek. Czuj się już zupełnie wolna. Widzisz, jakie to wspaniałe słowo?

— Czy naprawdę nie jest ci mnie żal? Nie chcesz mi pomóc? Pozwól mi się chociaż spłacić sobie...

— Mogę to mamie anulować. Nie musi mi mama niczego spłacać.

— Pomóż mi odzyskać twoją miłość.

— Mama żąda jeszcze nagrody?... Miłość... Nie znam. Nie pamiętam. Dan też był już dawno. Też nie pamiętam.

— Nino!

— Ale pamiętam swój pobyt na koloniach. Dwa miesiące tam byłam. Do wszystkich dzieci ktoś przyjeżdżał. Tylko do mnie nikt, nigdy.

— Dosyć!

— Pamiętam taką niedzielę. Pełno zjechało gości. Uciekłam wtedy do lasu. Położyłam się w trawie i płakałam. Potem uderzyłam w twarz tę, która była z mamą na lodach. I nie mogli odesłać mnie do domu, bo go nie miałam. Powiedz! Widziałaś kiedy małą dziewczynkę jedzącą lody?... Czy ty wiesz, co to znaczy być wtedy sierotą, której nie ma kto ich kupić?... I wtedy postanowiłam sobie nigdy więcej nie być ofiarą. Ale gdybyś jeszcze wtedy przyszła... Ale przyszła noc. Czy ty wiesz, że w takie noce myśli są ciemne? Błąkają się po pokoju nie mogąc znaleźć ani drzwi, ani okna, ani nawet głowy, by do niej wrócić i usnąć?... A potem zaczęłam się śmiać. I tak mi już ten śmiech pozostał na twarzy. Taki... zamarznięty. Aż do przyjazdu tutaj. Czasami tylko było mi żal Niny. Do której się kiedyś przyzwyczaiłam. To nie tak łatwo rozstać się z sobą. Zniszczyć siebie. Ale aby istnieć musiałam być silna. Nie ulegać wzruszeniom... Raz tylko... rozpłakałam się, gdy polonistka uściskała mnie po maturze. Tylko ona. A gdzie ty byłaś wtedy?... Po egzaminie poszłam do parku. Powiedziałam drzewom, że zdałam maturę. Śmieszne, co?... Tylko, że śmiać się wtedy nie mogłam. A liście były małe i nie rozumiały niczego. Ale było zielono. I wydało mi się wtedy, że jeszcze się wszystko raz zazieleni. Że przecież nie tylko ty istniejesz. Że będę jeszcze szczęśliwa. Przed chwilą, jeszcze przed chwilą w to wierzyłam... Ty mi dopiero zabrałaś wszystko.

— Spróbuj, Nino. Zaczniemy wszystko od początku.

— Po co? Ja ciebie przecież nie kocham.

— Nino.

— Ja ciebie przecież nie kocham!!!

☆ ★ ☆

Ławka obok mnie już pusta. Pewnie w ogóle nikt na niej nie siedział. A jednak szkoda, że nie ma Niny.

Gdzie jest Nina?

A gdzie ja jestem?

Kim jestem?

Na imię mi Jerzy. Albo Andrzej. A może jeszcze inaczej...?

WRACAMY DO TEMATU

JESZCZE RAZ DWIE KOBIETY I PREZES

Dalszy ciąg ze str. 1

„Oskarżoną Janinę Z. od zarzucanych jej czynów uniewinnia. Kosztami postępowania obciąża oskarżyciela prywatnego Edwarda S., a nadto zasądza od niego tytułem opłaty na rzecz Skarbu Państwa kwotę 500 zł oraz na rzecz Janiny Z. kwotę 500 zł. tytułem zwrotu poniesionych kosztów adwokackich.

O co oskarżył Prezes Zrzeszenia uczciwą kobietę? O... zniesławienie go: 19 stycznia 1976 r. w lokalu Zrzeszenia Właścicieli Nieruchomości w Łodzi przy ul. Kilińskiego 90 w celu poniżenia go w opinii publicznej i narażenia na utratę zaufania potrzebnego do wykonywania jego działalności głosiła — nieprawdziwe zarzuty, że **„wie po co on siedzi w Zrzeszeniu, że nabija sobie kabzę okradając właścicieli"**. Ponadto oskarżył o to, że 27 stycznia 1976 r. w tym samym miejscu powiedziała: **„prezes jest ślusarzem, dorabia do pokoi biura klucze i wykrada dokumenty Zrzeszenia"**.

Sąd ustalił:

„Oskarżona nie przyznała się do winy przyznając fakty. Wyjaśniła, że celem jej działania była jedynie ochrona mienia społecznego, a nie chęć zniesławienia oskarżyciela prywatnego. Dowodem, że istotnie tak było jest fakt, że w zakresie podnoszonych zarzutów pod adresem Edwarda S. składała oficjalne doniesienia do odpowiednich władz.

Potwierdzeniem co najmniej (podkr. Z. T.) nieprawidłowości działania Edwarda S. jako Prezesa Zarządu Nieruchomości są obiektywne fakty, (potwierdzone również przez niego samego) jak i dokumenty oraz zeznania świadków. Faktem jest bowiem, że oskarżyciel wbrew statutowi samowolnie przedłużył sobie kadencję z 3 do 5 lat, co w zestawieniu z faktem, że płaca jego w Zrzeszeniu jest o połowę niższa od renty ma swoją wymowę (...) Prezes w osobie Edwarda S. ma możność dowolnego dobierania sobie osób, które kontrolują zasadność rachunków. (Należy podkreślić, że w skład Zarządu wchodzą ludzie w bardzo podeszłym wieku i w tym układzie nic dziwnego, że mogą być zatwierdzane rachunki zawyżone). Jest też wielce charakterystyczne, że zarówno Edward S. jak i prawie wszycy pozostali członkowie zarządu nie oddali swoich nieruchomości w zarząd Zrzeszenia. Ponadto — utworzenie funduszu pomocy, przy jednym podpisie E. S. stanowi swoiste curiosum.

Powyższe — bezsporne — fakty co najmniej uprawdopodobniają twierdzenie oskarżonej, że krytykując prezesa S. działała w interesie społecznym".

Taki werdykt nie zadowolił prezesa, który miał przecież zamiar pociągnąć także do odpowiedzialności karnej autorkę artykułu. Prezes odwołuje się za pośrednictwem swego pełnomocnika do sądu wyższej instancji. Usiłuje przekonać sąd, że oskarżona nie działała w interesie społecznym, że miała na celu zniesławienie go. Sąd Wojewódzki rozpatrzył sprawę i zważył, co następuje:

„Rewizja nie jest zasadna, podniesione w niej zarzuty nie przekonują, a niektóre twierdzenia są wręcz dowolne, nie znajdują bowiem pełnego uzasadnienia w materiale dowodowym sprawy. Sąd Rejonowy zebrany materiał dowodowy poddał analizie, prawidłowo ocenił i wysnuł z tego logiczne wnioski co do motywów działania Janiny Z. Z racji pełnionej funkcji księgowego miała ona nie tylko prawo, ale i obowiązek czuwania nad właściwym gospodarowaniem mieniem Zrzeszenia. Wykonywała swe obowiązki rzetelnie, wiedziała komu Zrzeszenie ma służyć i nie godziła się, aby działało na szkodę lokatorów. Antagonizmy pomiędzy oskarżoną a oskarżycielem prywatnym zaczęły się dopiero wtedy, gdy oskarżona oddała kilka rachunków do rzeczoznawcy, który uznał je za zawyżone o połowę. (...)

W świetle zeznań świadków (wymienia się nazwiska osób mówiących o obciążeniu lokatorów remontami, których nie było, bądź świadczeniami, które nie miały miejsca (oświadczenie oskarżyciela prywatnego, że uważa swoją pracę za dobrą — pozostają bez pokrycia. Zresztą oskarżyciel w swych zeznaniach przyznał szereg faktów, które wskazują na to, że Zrzeszenie traktował jako swoje prywatne przedsiębiorstwo. W tych warunkach należy stwierdzić, że oskarżona miała obiektywne podstawy do podejrzeń, że prezes zajmuje stanowisko także i dla własnych korzyści.

Celem działania Janiny Z. było uzdrowienie panujących w Zrzeszeniu stosunków. Oskarżona kilkakrotnie stwierdziła kradzież dokumentów z jej biurka. Wzywana była nawet milicja. Oskarżona informowała o tym kierownika Biura Usług Administracji Domów. Nie miała wątpliwości, że dokumenty te zabiera prezes, bowiem tylko jego mogły one interesować. Ponadto miał on dostęp do pomieszczeń, w których dokumenty się znajdowały. Oskarżona była zaniepokojona takim stanem rzeczy, była przy tym bezsilna. Obawiała się także skutków braku tych dokumentów"

☆ ★ ☆

W czerwcu 1976 r. Okręgowy Zarząd Dochodów Państwa i Kontroli Finansowej podejmuje następną kontrolę w Zrzeszeniu. Ob. Janina Z. zwraca się z prośbą o pinformowanie jej o wynikach, a także o informacje w sprawie dochodzenia przeprowadzanego przez KD MO Łódź-Śródmieście oraz Prokuraturę Dzielnicową. Otrzymuje odmowną odpowiedź...

Uważam, że nie tylko ob. Janina Z. ma prawo wiedzieć, jakie efekty dała jej walka o poszanowanie norm prawnych. Jestem zdania, że o wynikach kontroli i jej wnioskach powinni wiedzieć także ci, którzy byli poszkodowani przez Zrzeszenie, a w ogóle całe społeczeństwo. Nie będę się powoływać na znane powszechnie i nie raz cytowane apele najwyższych władz politycznych kraju o zwalczanie wszelkiego rodzaju nieprawidłowości, klikowości, kumoterstwa, przestępczości itp. zjawisk przeszkadzających nam w prawidłowym rozwoju kraju. Myślę, że ten wzgląd miały na celu władze kontrolne i kierownictwo Wydziału Gospodarki Komunalnej i Spraw Lokalowych Urzędu Miasta Łodzi udostępniając niżej podpisanej protokół pokontrolny Okręgowego Zarządu Dochodów Państwa i Kontroli Finansowej.

Nie będę cytować wielu fragmentów. Wystarczy kilka:

— w wyniku kontroli ujawniono ogólny niedowład organizacyjny powodujący zaniedbania w wykonywaniu podstawowych funkcji Zrzeszenia.

— Brak właściwej troski o gospodarkę Zrzeszenia spowodował powstanie strat na administracji domami za 1975 r. w wysokości 1.561 tys. zł.

— Przeprowadzona obecnie kontrola ujawniła, że stan gospodarki Zrzeszenia nie uległ poprawie do czasu kontroli przeprowadzonej przez Zjednoczenie Gospodarki Komunalnej. — Należy nadmienić, że szczegółowo opracowany schemat organizacyjny przez kierownika BUAD, mgr Janinę G., obejmujący m. in. zakresy działania poszczególnych jednostek organizacyjnych i pracowników dotychczas pozostaje w sferze projektów.

— Zaległości czynszowe na przestrzeni wielu lat wykazywały tendencję zwyżkową. Analizę i urealnienie sald posesji przeprowadziła mgr A. W. w okresie od 30.X.1975—76 zaangażowana w ramach prac zleconych z inicjatywy b. księgowej Janiny Z. Mimo to nie podjęto żadnych działań zmierzających do wyegzekwowania bądź zabezpieczenia hipotecznego wspomnianych należności.

— Omawiając wyniki finansowe na walnym zgromadzeniu ob. E. S. — ustępujący prezes uzasadnił ten stan rzeczy słabą pracą księgowości i niedostateczną analizą działalności przez kierownictwo BUAD, podczas gdy faktycznie za sprawne i terminowe egzekwowanie należności odpowiedzialny był specjalnie w tym celu zatrudniony Ob. S.

WNIOSEK: Okręgowy Zarząd wnioskuje o rozważenie celowości dalszego prowadzenia administracji domów przez Zrzeszenie.

UZASADNIENIE: niewywiązywanie się administracji Zrzeszenia z funkcji, do których została powołana. W aktualnym stanie organizacji nie ma gwarancji na prawidłową pracę.

☆ ★ ☆

Nowym prezesem Zarządu Zrzeszenia został reprezentant najstarszego pokolenia miasta. A miejsce mgr Janiny G. zajął pan, który... cytuję z protokółu:

„Należy nadmienić, że zatrudniony z dniem 12 lipca 1976 r. dyrektor Biura Administracji, mgr A.P. do zakończenia dnia kontroli (zakończono 20 sierpnia) nie przedłożył żadnych akt osobowych. Dotychczas nie sporządzono angażu, a jedynym formalnym dokumentem jest protokół z posiedzenia zarządu z decyzją o zatrudnieniu. Przyznano mu wynagrodzenie w wysokości 6.140 zł miesięcznie (łącznie z dodatkiem), podczas gdy w preliminarzu kosztów wynagrodzenie to określono na 5.340 zł".

☆ ★ ☆

Historia Janiny Z. ciągnie się dalej. Zespół pomocy prawnej przy **Łódzkiej Radzie Związków Zawodowych** przekazał jej sprawę o przywrócenie do pracy i wypłacenie odszkodowania za okres pozostawania bez zatrudnienia — do **Komisji Odwoławczej.** Komisja odrzuciła roszczenia ze względu na przeterminowanie odwołania. W dalszym ciągu **Łódzka Rada ZZ** skierowała sprawę do Sądu Rejonowego za pośrednictwem **Terenowej Komisji Odwoławczej przy naczelniku Dzielnicy Łódź-Śródmieście.** Efektem tego było rozpoznanie sprawy przez **Okręgowy Sąd Pracy**, który uznał, że odwołanie wpłynęło w terminie, uchylił zaskarżone orzeczenie i przekazał sprawę do ponownego rozpoznania merytorycznego przez **Terenową Komisję Odwoławczą.** Sprawa ciągnęła się długo — **do 21 grudnia 1976 r.** Wreszcie przywrócono Janinę Z. do pracy i uznano roszczenia w wysokości 3-miesięcznego wynagrodzenia.

Janina Z. w piśmie do Zrzeszenia składa 29 grudnia gotowość przystąpienia do pracy. Odpowiedź brzmi:

„...zgłaszanie gotowości w tym przedmiocie jest zbyt przedwczesne, bo nawet tutejsze Zrzeszenie nie otrzymało jeszcze orzeczenia, na które Obywatelka powołuje się. Poza tym, gdy nam zostanie doręczone, nie będzie orzeczeniem prawomocnym, od którego przysługuje Zrzeszeniu odwołanie do Okręgowego S. P. i Uz. Społ., a następnie ewentualnie nadzwyczajna rewizja do Sądu Najwyższego. Niezależnie od powyższego zawiadamiamy Obywatelkę, że w związku ze szkodami poczynionymi w okresie pracy w tutejszym Zrzeszeniu na stanowisku Głównego Księgowego zmuszeni jesteśmy wystosować do Obywatelki jak i do ob. mgr G. żądania wyrównania tych szkód, za które ciąży na was solidarna odpowiedzialność z tytułu zajmowanych kierowniczych stanowisk".

Istotnie, takie żądanie nadeszło do obydwu pań 31 grudnia 1976 r. Dotyczy ono zakupu nadmiernej ilości trawy, zaangażowania pracownicy za wynagrodzeniem wyższym niż rencista może zarobić. Dalej wymienia się stratę na angażu księgowej, która była zatrudniona na zastępstwo głównego księgowego, czyli Janiny Z. w czasie jej długotrwałej choroby. (angaż opiewał na 3 miesiące i w tym czasie Aniela W., o której wspomina protokół Okręgowego Zarządu uporządkowała, zgodnie z umową, stan zadłużonych posesji). Zrzeszenie obciąża też panie zakupem druków rzekomo na 15 lat i od setkami naliczonymi przez Wydział Finansowy za nieterminowe złożenie przelewów podatkowych.

Jak widać z powyższych pism Zrzeszenie ma „cel w życiu". Odbiega on wyraźnie od zaleceń pokontrolnych dwóch rewizji. Pieniackie tendencje dominują. (obecny prezes Jan L. wrócił na to stanowisko po pięcioletniej przerwie, którą wypełnił swoją — omówioną dokładnie w protokółach pokontrolnych pracą — Edward S. Wrócił także sekretarz. Jak widać pałeczka przekazywana jest w sztafecie nieustannie „biegnącej" w jednym kierunku). **Należy oczekiwać, że Urząd Miasta przerwie te praktyki i spowoduje likwidację bezsensownie istniejącej, a raczej szkodliwie działającej w społecznym odczuciu, instytucji.**

ZOFIA TARNOWSKA

STUDENCI

ZBIGNIEW S. NOWAK

CO SIĘ DZIEJE ZA TYMI DRZWIAMI?

Co o swoim życiu kulturalnym sądzą studenci? Ot, zapytajmy choćby o znany ponoć całej braci akademickiej klub „Na Piętrze", który ma być, jak dotąd, jednym z ważniejszych ogniw w organizacji studenckiego życia kulturalnego w Łodzi.

OPINIE

— „Na Piętrze"? Tak, wiem, to gdzieś przy Jaracza. Ale ja tam nie chodzę. Dlaczego? Tam chyba nic ciekawego się nie dzieje, bo jakoś nigdzie o tym nie słychać. Ja w każdym razie nic o tym nie wiem.

— Owszem, słyszałam o tym klubie. Podobno ostatnio jest tam fajnie... no, są tam jakieś ciekawe imprezy. Szkoda tylko, że nigdzie nie można dowiedzieć się, co tam robią, a tak „w ciemno" nie pójdę.

— Byłem tam niedawno, ale to strata czasu. Parę osób nudziło się przy płytach i to wszystko.

— Nazwę klubu to ja już słyszałam, ale nie byłam tam jeszcze. Po pierwsze, nie bardzo wiem, gdzie to jest, a poza tym nie mam pojęcia czy warto... Nigdzie nie ma żadnych ogłoszeń ani plakatów, to niby skąd mam wiedzieć.

— Znam trochę ten klub, nawet byłem tam kilka razy... kiedyś, w ubiegłym roku, ale dałem spokój. Dlaczego? Powiem szczerze... jak już mam iść na piwo czy na „potańc", a tym bardziej z dziewczyną, to stać mnie na porządniejszy lokal. A jeśli idzie o tzw. kulturę, to w Łodzi na szczęście jest gdzie się wybrać... nie musowo korzystać akurat z „prowizorki" i to dość prymitywnej.

— Ja jestem tu dopiero pierwszy rok na studiach... ale chciałem zobaczyć, co tam jest. Człowieka z małego miasteczka takie rzeczy interesują, kiedy już „dorwie się" do studenckiego życia. Ale chyba miałem pecha, bo jak już tam poszedłem, to akurat było zamknięte, Kłódka na drzwiach bez żadnego wyjaśnienia.

— Ten lokal mnie nie interesuje. Przecież tam zupełnie nic się nie dzieje...

Dla porządku muszę przyznać, że udało mi się spotkać także stałych bywalców klubu „Na Piętrze", aż dwóch wprawdzie, ale dobre i to...

KLUB „NA PIĘTRZE"

Jaracza 7. Mocno przykurzona tablica, ledwie widoczna w mroku ulicy, informuje, że to właśnie tutaj. Zapuszczam się w czeluść korytarza. Niechcący płoszę kundla-łazęgę, który akurat podnosił nogę na odrapane drzwi. Idę dalej. Dwie nieśmiałe panny stoją i się wahają.

— Proszę pana, czy tu jest wstęp wolny? I co tam jest?

— Wejdźcie, to zobaczycie! — zapraszam dziewczyny do wnętrza.

Na sali intymny półmrok, leci modern-jazz, kilka głów kołysze się smętnie. Szukam gospodarza.

— Jest u siebie — rzuca ktoś z kąta.

Wchodzę do zagraconej klitki. Dwie szafy, wersalka, wieszak na ścianie, elektryczny grzejnik, fotelik, biurko, na nim telefon w częściach zamiennych, po kątach poupychana ogromna rozmaitość wszelakiego sprzętu — to wszystko na ośmiu metrach kwadratowych.

— Cześć!

— Cześć! Siadaj, pogadamy.

— Coś tu u was cieniutko .. — zaczynam ostrożnie.

— Tak... Robimy, co można, ale... Nie wystarczą same chęci... A jak chcesz wiedzieć, co jest grane, no to słuchaj... Zaraz zawołam innych. Poczekaj.

Mówić będą: **Jola Wajnkajn** — kierownik programowy klubu od kwietnia 1976, zatrudniona tu na pół etatu przez Zarząd Łódzki SZSP na wniosek Rady Uczelnianej, **Bohdan Własenko** — kierownik administracyjny, od września 1976 zatrudniony na pół etatu przez Uniwersytet, **Maciek Jaworski** — pełniący obowiązki szefa Komisji Kultury przy Zarządzie Łódzkim SZSP.

MÓWIĄ STUDENCCY DZIAŁACZE

— Warunki lokalowe mamy niezbyt dobre. Jedna sala, nieco powyżej 100 m kw., mała estrada, druga niewielka sala, pomieszczenie na szatnię wykorzystane częściowo na magazynek gospodarczy, bo gdzie indziej nie ma na to miejsca, mały bufet, toalety, no i nasz „gabinet" — razem około 240 m kw. Na organizowanie imprez dla większej liczby osób nie ma tu miejsca.

— Wejście do klubu wygląda obskurnie, to fakt. Nic na to jednak nie poradzimy. Korytarzem „opiekuje się" gospodarz domu. My nie mamy prawa „wchodzić mu w paradę". W klubie mamy czysto, przyjemnie. Kiedy zajmiemy z czasem resztę pomieszczeń na piętrze, zabierzemy się i za tę nieszczęsną klatkę schodową.

— Nie mamy stałego budżetu na naszą działalność. Uniwersytet opłaca lokal, sprzątaczkę, „czystościówkę" i inne drobiazgi. To przynajmniej mamy „z głowy". Gorzej bywa z resztą.

— Fundusze na działalność programową załatwiamy dorywczo, skąd się da. Nie jest z tym lekko. Np. Rada Uczelniana UŁ dysponuje roczną kwotą ok. 3 mln zł. To musi wystarczyć na wszystko: na obozy naukowe, dofinansowanie stołówek studenckich, sport, turystykę, kluby i oczywiście na nagrody dla działaczy. Na działalność programową klubów studenckich przypada znikoma kwota...

— Musimy korzystać z pomocy finansowej Uniwersytetu. Władze uczelniane zwykle tej pomocy nam nie odmawiają. Ale to nie załatwia sprawy. Potrzebne są w tej kwestii rozwiązania pozwalające na długofalowe planowanie działalności programowej przy zabezpieczonych z góry funduszach.

— W obecnej sytuacji są np. ciągłe kłopoty z funduszem bezosobowym, potrzebnym nam na opłacanie zapraszanych do klubu artystów i innych ludzi sztuki, literatury itd. Był np. u nas Konstanty Mackiewicz. Nie chciał honorarium. Ale nie każdy jest taki wspaniałomyślny. Nie ma forsy — nie ma człowieka — nie ma imprezy. Tak zwykle bywa...

— Brak samodzielności finansowej uniemożliwia nam prowadzenie bardziej rozsądnej gospodarki funduszami, jakimi ewentualnie moglibyśmy dysponować...

— Są też problemy ze sprzętem. Uniwersytet przekazuje wiele różnego sprzętu organizacji, na odpowiedzialność któregoś z członków SZSP. Organizacja przekazuje sprzęt nam. Ale tu są kłopoty, bo studenta można obciążyć odpowiedzialnością materialną za sprzęt tylko do 10 tys. zł, a sprzęt ma często wartość o wiele wyższą. Masa sprzętu różnego rodzaju leży więc w magazynach bezużytecznie, bo nie miałby kto odpowiadać za ewentualne zaginięcie czy zniszczenie. Gdyby byli etatowi pracownicy klubu, których można by obciążyć odpowiedzialnością materialną za sprzęt w dowolnej kwocie, byłoby wyjście z tego błędnego koła. Ale etatów dla klubu brak. Nie ma ich Uniwersytet, nie ma ich SZSP.

— Mamy i inne kłopoty. Ot, choćby taki „drobiazg". Klub mieści się w budynku, gdzie mieszkają prywatni lokatorzy. Musimy więc naszą codzienną działalność niekiedy trochę hałaśliwą, kończyć o godzinie 22. Później ludzie muszą mieć ciszę i spokój; my im to gwarantujemy. Ale nasz lokal klubowy wynajmują sobie na prywatne imprezy różni „bardzo ważni działacze SZSP". Rektor wydaje im zezwolenia na to i my nie mamy tu nic do gadania. Takie imprezy towarzyskie często trwają całą noc, a nie są one bynajmniej ciche. Później lokatorzy mają do nas pretensje o zakłócanie spokoju w nocy i choć to przecież nie nasza wina, my musimy się tłumaczyć. I na to nie ma rady. Działaczom należy się jakaś rekompensata za społeczną pracę...

— Dlaczego nie wszyscy studenci znają nasz klub? Dlaczego mamy takie kłopoty z angażowaniem ludzi do pracy u nas, a choćby ze zwyczajnym „ściągnięciem" ich do klubu na jakąś imprezę? Przesyłamy odpowiednie pisemka, zawiadomienia, plakaty do rad wydziałowych uczelni. Prosimy o propagandę, o informowanie ludzi o klubie, o tym, co się u nas dzieje. Ale rady wydziałowe na ogół niewiele o to dbają. Jak przy takiej informacji studenci mają cokolwiek wiedzieć o klubie? Chcieliśmy wydawać biuletyn informacyjny i sami rozprowadzać go wśród studentów, wtedy rady wydziałowe nie byłyby nam potrzebne do szczęścia, ale jak na razie w żaden sposób nie można tego załatwić...

— Klubem rządzą trzy instytucje: władze uczelniane, Rada Uczelniana SZSP i Zarząd Łódzki SZSP. W grę wchodzą więc różne tzw. układy, nie tylko służbowe, ale i personalne, niekiedy różnice interesów... Nie wychodzimy na tym dobrze. Wiadomo, gdzie kucharek sześć...

KTO ZECHCE?

Kiedy opuszczałem klub „Na Piętrze", miasto kładło się do snu. W głowie miałem zamęt po wielogodzinnej dyskusji. Starałem się zrozumieć kłopoty studenckich aktywistów. Robią, co mogą, mimo wszystko i wszystkiemu na przekór. Jakoś „ciągną" tę studencką kulturę, uczą ludzi lepiej żyć. Ale jakim kosztem, za jaką cenę? Czy na długo jeszcze wystarczy im sił, nerwów i społecznikowskiego zaangażowania?

A gdyby tak...

Zwracam się do dziewczyny, która pracuje w komisji kultury przy Radzie Wydziału:

— Klub „Na Piętrze" czeka na takich ludzi jak ty, z inicjatywą. Pasjonujesz się teatrem, mogłabyś w tym klubie zorganizować np. kabaret. Masz do dyspozycji lokal, sprzęt, ludzi do pomocy...

— Zwariowałeś? Ja mam dosyć pracy w naszej komisji kultury. Jestem przecież działaczką...

Zwracam się do studenta:

— Klub „Na Piętrze" poszukuje chętnych do współpracy. Jest lokal, niezłe wyposażenie, jest trochę ludzi. Mógłbyś tam coś zrobić, może jakiś kabaret. Kiedyś przecież się tym interesowałeś...

— Człowieku, daj mi spokój! Ja nie jestem działaczem, ja nagród za działalność nie biorę. I nie chcę...

Więc kto zechce?

TELEWIZJA

O WSZYSTKIM PO TROCHU

Recenzenci zacietrzewieni w bojach o serial **„Daleko od szosy"**, jak gdyby przez pewien czas nie oglądali niczego innego. W ten sposób wiele ciekawych — z różnych względów — programów przeszło jakoś bez echa. **A może warto byłoby poświęcić parę uwag choćby serialowi NRD „Kobiety Wardinów".** Po pierwsze dlatego, że historia filmowej wioski jakoś tam o Polaków zahaczała, a po drugie dlatego, że nie zawahano się tam pokazać pewnej prawdy, może niezbyt dla Niemców miłej, ale mniej więcej obiektywnej.

Ostatni, trzeci odcinek, mówił o końcu lat trzydziestych czyli o czasach faszystowskiej zarazy, która ogarnęła całe społeczeństwo Rzeszy. Muszę przyznać, że ten obraz społeczności pokazano z dużym samokrytycyzmem. Nawet najbardziej pozytywni bohaterowie serialu nie wychodzą z tej brunatnej mazi zupełnie czyści. Myślę, że było to dobre, uczciwe, publicystyczne kino.

Koszmarem natomiast był **„Klub Wesołego Rogera"** ze Szczecina. Dawno już nie oglądaliśmy tak głupiej, płaskiej i nudnej „śpiewogry" rozrywkowej. Emitowano tę smutną pomyłkę programową w późnych godzinach nocnych, więc niby mała strata. Ale rzecz w tym, że również w takich godzinach „chodzą" w telewizji programy bardzo dobre, widz zatem czeka przez te wszystkie powtórzenia dzienników, nudne filmy, żeby zobaczyć, jaki rodzynek zaserwowano mu na koniec. No i okazuje się nieraz, że jest to marcepan, a nieraz, że stęchły orzech. Chciałem wymienić nazwisko owego „wesołego" twórcy telewizyjnego ze Szczecina, aby się czytelnicy mieli na przyszłość na baczności. Niestety. Na koniec programu podano bardzo szybko i wstydliwie listę płac (mniej więcej dwadzieścia nazwisk) w której wyłowiłem tylko panów Aniołkowskiego i Szopę. Jaki jest ich udział w tej pomyłce — nie wiem.

Wiem natomiast wszystko o twórcach **„Wiejskich zalotów" G.B. Shawa. Reżyserował Mieczysław Małysz wystąpili Zofia Grązlewicz i Bogdan Wiśniewski.** „Wiejskie zaloty" nie należą do najwybitniejszych osiągnięć angielskiego dramaturga, ale jest to przecież sztuka mistrza co się zowie. Błyskotliwy, dowcipny dialog tej sztuki to prawdziwa uczta dla słuchacza. Moim zdaniem znakomicie sprawdzili się tu łódzcy aktorzy: Zofia Grązlewicz i Bogdan Wiśniewski. Panuje przekonanie, że Shawa grać jest łatwo, bo sam potoczysty i pełen spięć dialog prowadzi aktora. Może i to prawda, ale w łódzkiej incenizacji zza tego dialogu, zza tych pogaduszek w sklepiku wyłonił się jakiś bardzo przejmujący smutek ludzkiej egzystencji. A przecież wielkiemu dramaturgowi o to chyba szło, nie wyłącznie o pustą zabawę słowem. Zarówno dzięki reżyserowi, jak i dzięki aktorom zobaczyliśmy rzecz o ludzkich losach, marzeniach, samotności, rezygnacji. Była to s z t u k a, a nie tylko sprawna deklamacja dobrego tekstu.

Na koniec parę uwag z zupełnie innej beczki. **Młodzieżowa „Siódemka"** zdobyła już sobie sporą popularność i staje się cyklem naprawdę ciekawym. **Zdecydowanie świetne są wieczory z red. Wysockim „siedem przebojów muzyki poważnej"** Jest to program nie tylko mądry, kształcący i potrzebny, ale także atrakcyjnie realizowany i kulturalnie prowadzony. Stara to prawda — nie wystarcza bowiem, aby program był s ł u s z n y, trzeba jeszcze drobiazgu: powinien być d o b r y. Równie dobra jest „Sportowa siódemka" — także realizowana ciekawie i prowadzona kulturalnie.

Niestety — gorzej z innymi „siódemkami". Często zresztą wadą ich nie jest koncepcja (choć zdarza się „publicystyka" na siłę), lecz... prezenter. Szczególnym zjawiskiem jest p. Jaworowicz, istna Niagara pretensjonalności i minoderii. W sumie jednak „siódemki" są dobrym pomysłem — minie jakiś czas, poszczególne zespoły wypracują własne linie programowe i wieczorny blok młodzieżowy będziemy mieli na medal złoty, a nie tylko srebrny.

TELEMAN

OBYCZAJE

PANI KRYSIA POSTRACH TAKSÓWKARZY

Komunikat MO

Osoby, które wręczyły Krystynie Z. pieniądze na zakup bonów dolarowych PKO, a których to bonów nie otrzymały, proszone są o zgłoszenie się do KD MO Łódź — Widzew, ul. Wysoka 45, pok. 21, w godz. od 9 do 14, bądź telefonicznie, tel. 677-22, 292-22 wewn. 72, celem złożenia zeznań.

Dalszy ciąg ze str. 1

Sprzedawczynie uśmiechnęły się tylko, bo klient różne przecież rzeczy plecie. Upłynęły dwa dni, zapomniały o tym incydencie, gdy...

— Proszę pani, proszę pani! Nie pamięta mnie pani? Dwa dni temu obiecałam bony pekao i właśnie przyniosłam.

— A ile?

— Pięć. Czy to mało? — pyta pani Krysia.

— Nie, nie o to chodzi.

— A o co?

— Po ile... Ile mam zapłacić?

— Dwieście pięćdziesiąt złotych.

„Zdziwiło mnie, że tak tanio" — powie później sprzedawczyni w czasie przesłuchania i pewno powtórzy to w sądzie. Ale teraz wierzy, że zrobiła znakomity interes, próbuje ukryć zdziwienie i radość.

— Przynieść jeszcze? — pyta pani Krysia.

— Gdyby pani mogła — odpowiada sprzedawczyni.

— Mogę. Przyniosę.

Po dwóch dniach.

— Dzień dobry, pani Zosiu!

Nasza „bohaterka" zapamiętała imię sprzedawczyni. A może jej szare komórki otworzyły nowe konto z hasłem **„Zosia".**

— Przyniosłam znów dwa bony.

— I znów po pięćdziesiąt złotych?

— Oczywiście.

— To miło z pani strony. Jest pani taka sympatyczna a ja nawet nie wiem komu mam dziękować.

Zasada druga — „szczerość"

— Nazywam się Krystyna Z. (i tu p. Krysia wymienia całe nazwisko). **Jestem księgową. Mieszkam na Widzewie.**

I mówi — dużo mówi. Od niechcenia wtrąca, że jej kuzynka otrzymała spadek z zagranicy. I z uśmiechem odchodzi. Zasiane ziarno zaczyna już kiełkować. Za tydzień, za dwa p. Krysia zbierze owoce.

Minęło kilka dni.

— Pani Krysiu! — woła ją ekspedientka, gdy tylko dostrzegła ją w sklepie.

— Dzień dobry, pani Zosiu! Co słychać?

— A jakoś się pracuje.

— Trzeba pracować — na to pani Krysia. **— Tylko moja kuzynka nie potrzebuje — dostała spadek. Mówiłam to pani? Ma dolarów jak lodu.**

— Właśnie czy mogłaby pani jeszcze... — zaczyna ekspedientka.

— Mogłabym, ale większą ilość i już nie po 50 zł. Wycwaniła się ta moja kuzynka. Teraz chce po dziewięćdziesiąt złotych za bon. To i tak się opłaca — wszyscy wiedzą.

— Tak, opłaca się, ale ile może tych bonów sprzedać?

— A ile pani potrzebuje?

— Tyle, żeby za nie kupić samochód. Za bony można szybciej.

— To musi pani dać zadatek.

— Ile?

— Dziesięć tysięcy.

— Ale my się prawie nie znamy.

— To się poznajmy. Pracuję w „Spesie".

I tu pani Krysia podaje swój adres. Wyciąga dowód osobisty. Zasada druga bowiem w tej grze, którą narzuciła — to być „szczerym", a dokładniej robić wrażenie fajnego, bezinteresownego, uczynnego człowieka.

I tak nastały dla p. Krystyny żniwa. Zaowocowała inwestycja trzystuzłotowa, zagrały stworzone pozory. Wpierw otrzymała 20 tys. zł zaliczki, potem pilnie kuzynce potrzebne 10 tys. zł na podatek, następnie 37 tys. za bony, potem jeszcze i jeszcze, nim się ofiara „połapała" na koncie strat wybiła suma 147-tysięcy złotych.

Teraz przyszła pora na odwiedzanie pani Krystyny w domu, na żądanie zwrotu pieniędzy. Ale pani Krysia jeszcze w tej fazie potrafiła wyciągnąć 5 lub 10 tys. zł. Taki miała dar. A kiedy sprzedawczyni, przeklinając swoją naiwność — groziła milicją, wtedy p. Krysia oddawała te pięć, dziesięć lub dwadzieścia tysięcy złotych. Ale tylko tyle.

Zasada trzecia: znać

Prawdziwe spustoszenie poczyniła pani Krysia wśród — wierzyć się nie chce — łódzkich taksówkarzy. Wśród tych ludzi obrotnych, łebskich, znających życie z dobrej i złej strony — właśnie z racji częstych kontaktów z ludźmi, wystawionych na różne okazje, pokusy i często nie ma co ukrywać — na jedyną zapłatę za kurs — przykrości. A pani Krysia — stała się — rzec można z niewielką przesadą — prawdziwym postrachem łódzkich taksówkarzy;

Do taksówki Stanisława P. wsiadła na postoju przy ul. Przędzalnianej niska kobieta, lat — jak sam potem określi „około 40". Podała kilka adresów, pod które miał ją zawieźć.

— Wie pan — tak zaczęła rozmowę **— Muszę zawiadomić rodzinę o pogrzebie.**

Pierwszy adres — ul. Jaracza. Przystanęli przed sklepem „Pewexu". Pasażerka weszła do środka.

— Tu pracuje moja kuzynka — powiedziała wsiadając do „taxi". — I zaraz dodała. — **Mam okazję załatwienia bonów po osiemdziesiąt pięć, dziewięćdziesiąt pięć za sztukę. Interesuje to pana?**

I tak Stanisław B. wręczył jej 28 tys. zł, a bony miał odebrać nazajutrz przed sklepem „Pewexu" w al. Kościuszki. Oczywiście znał już wtedy jej nazwisko i adres, obejrzał dowód. Zamiast bonów dostał tego dnia gratis 5 dolarów. A nazajutrz wręczył jej znów pokaźną kwotę. Bonów znów nie otrzymał, bo „wystąpiły nieprzewidziane kłopoty". Mimo to pani Krysia nakłoniła go do „wypłacenia" jej znów wcale pokaźnej kwoty.

Inny właściciel pojazdu zarobkowego wręczył jej, oczywiście na bony 20 tys. zł, a otrzymał pokwitowanie (bo pani Krysia zawsze wręczała swym ofiarom „pokwitowanie pożyczki") na sumę 35 tys. zł. Więc nie był tak nerwowy jak inni.

Jedną z ofiar był taksówkarz z podłódzkiej miejscowości, którego pani Krysia naciągnęła na około 100 tys. zł. Pani Krysia przyjeżdżała do niego taksówkami — on myślał, że ona „pracuje" dla tych, z którymi przyjeżdża, ci co ją wozili — odwrotnie, że on właśnie dostarcza jej bonów. On zapisywał ich boczne numery — oni notowali jego. Gdy się dogadali — nie było im do śmiechu. Jedyną dla nich pociechą może być fakt, że ofiarą pani Krysi padła również konkurencja — właściciel prywatnego pojazdu wożącego pasażerów na „lepka".

Stwarzała pozory, a robiła to widać sugestywnie, że zna kogoś, kto może „bony załatwić". Czasem była to kuzynka pracująca w sklepie „Pewexu", innym razem krewna otrzymująca schedę z zagranicy, kiedy indziej zagraniczny specjalista pracujący w Łodzi, albo rodak, który wrócił do kraju z polskiej budowy wznoszonej za granicą.

Ta zasada „znać" rozciągała się również na nieszczęsne ofiary pani Krystyny. Nie do wszystkich taksówek wsiadała. Jej ulubioną marką była stara „warszawa". Wiadomo — sypie się taki wóz a na nowy musi właściciel czekać w „Polmozbycie" — dwa lub cztery lata. Gdy mu się stworzy nadzieję — zastosuje inne zasady oszukańczej gry — przynęta chwyci.

Zasada czwarta: zawsze można udać wariata

Wszystko — wcześniej czy później się wyda. Każde przestępstwo zostanie ujawnione. Może o tym zapomniała pani Krysia a może nie — w każdym razie 29 września 1976 r. organa ścigania otrzymały następujące pismo:

„Do Prokuratury Rejonowej
Łódź-Widzew
ul. Wysoka nr 44

Podanie

Zwracam się z prośbą o pociągnięcie do odpowiedzialności karnej Krystyny Z. zam. Łódź, ul. Kresowa 25. W 1975 r. wraz z mężem sprzedaliśmy samochód osobowy marki „fiat" i nosiliśmy się z zamiarem kupna nowego samochodu. Ponieważ istnieje możliwość szybkiego kupna na bony PeKaO rozważaliśmy możliwość nabycia takich bonów. O zamiarze kupna bonów rozmawiałam z ww. znajomą Krystyną Z., która zaoferowała się dostarczenia bonów. Mówiła, że bony posiada jakiś znajomy rzekomy Marian G., który miał otrzymać spadek z zagranicy. Łącznie w ratach przekazałam jej 220 tys. zł, za które miałam otrzymać bony. Mimo licznych ponagleń ww. dostarczyła mi jedynie 30 bonów PeKaO, a następnie na skutek moich żądań zwróciła mi w ratach 127 tys. zł. Pragnę dodać, że ww. za każdym razem opowiadała różne wersje, które uzasadniały opóźnienie dostarczenia bonów, wyznaczała wiele terminów, których do dziś nie dotrzymała. Winna mi jest 93 tysiące złotych. Ostatnio dowiedziałam się, że ofiarą podobnego oszustwa padł Ob. P. zam. w R. Ponieważ padłam ofiarą oszustwa uprzejmie proszę o pociągnięcie ww. do odpowiedzialności karnej i wystąpienie z powództwem o odszkodowanie."

Na tej podstawie wszczęto dochodzenie. W 10 dni później milicja ustaliła już liczbę 7 poszkodowanych.

Po opublikowaniu komunikatu MO w prasie liczba poszkodowanych ciągle rosła. Wtedy aresztowana zastosowała zasadę czwartą — głoszącą: zawsze można udać wariata. Twierdziła, iż słyszała głosy, aby brała pieniądze. Pytanie prokuratora:

— Czy nigdy nie słyszała głosów, aby oddać pieniądze? — pozostawiła bez odpowiedzi.

Po obserwacji w szpitalu im. Babińskiego w Kochanówce orzeczenie lekarzy specjalistów brzmiało zgodnie: **„Nieudolna symulacja choroby psychicznej"**

Sama podejrzana oświadczyła, że po szpitalnej kuracji czuje się lepiej. Notabene kuracja polegała na podawaniu pacjentce... witamin.

— Dlaczego to robiła? — to pytanie nasuwa się niemal automatycznie wszystkim, toteż zadawano je pani Krysi wielokrotnie. Odpowiedź była zawsze ta sama. Otóż — twierdzi podejrzana — miała kłopoty finansowe. Zaciągnęła dług rzędu kilku tysięcy złotych. Aby wykaraskać się z kłopotów pożyczyła 40 tys. zł. Poszła pod sklep „Pewexu", chcąc kupić bony jak najtaniej a jak najkorzystniej sprzedać. „Zarobione" w ten sposób pieniądze — starczyły na pokrycie długu. Aliści została oszukana przez „konika" i w rezultacie wpadła z deszczu pod rynnę, gdyż dług urósł o nowe kilka tysięcy. Żeby więc w jakiś sposób powetować swoje straty zaczęła oszukiwać innych. Trudno powiedzieć, czy to jest prawda, czy też jest to wersja obmyślona na wzbudzenie litości — na użytek sądu.

Pani Krysia nie jest wcale taka głupia, za jaką chce aby ją miano. Maksymalnie wykorzystała atuty, jakimi w tej grze — już skończonej — rozporządzała, a należą do nich:

— dobra znajomość ludzi (była kimś o kim się mówi — „dobry psycholog")

— łatwość nawiązywania znajomości

— znakomity zmysł obserwacji

— wygląd solidnej, niepozornej kobiety

— umiejętność stwarzania pozorów i mitów

— pozowanie na szczerość.

To pozowanie na „szczerość", podawanie adresu swojego i rodziny, miejsca pracy (choć już wtedy nieaktualnego — ale zawsze to coś), nazwiska i zawodu, nie zacieranie śladów — budzi najwięcej kontrowersji. Bo niby na co liczyła? Kontrahenci wiedzieli o niej prawie wszystko. Na co więc liczyła? To pytanie podobnie jak inni zadawałem sobie wielokrotnie. I nie raz na ten temat podejmowałem rozmowę z ludźmi, którzy z urzędu znają tę sprawę. I może nigdy bym nie wpadł na prostą zresztą odpowiedź i nie pojął cienkich aluzji pani prokurator Elżbiety Cyrkiewicz, gdybym nie stał się mimowolnym świadkiem rozmowy.

Zasada szósta — cena wstydu

Siedziałem na korytarzu w Prokuraturze Dzielnicowej Łódź-Widzew czekając aż zakończy się przesłuchiwanie kolejnego świadka w tej sprawie. Wreszcie drzwi się otworzyły, na progu stanął młody mężczyzna — pot spływał mu po czole, a policzki pałały pąsem.

— To ona naciągnęła innych na więcej? — zapytał.

— Tak wynika z tego co pan już wie.

— A myślałem, że ja jestem ten najgłupszy — westchnął z ulgą świadek. Jak się okazało potem, oszukany na przeszło 80 tys. zł.

Pani Krysia w swoją oszukańczą grę wkalkulowała bowiem i rzecz niebagatelną — **cenę ludzkiego wstydu.** Przecież nie wszyscy z oszukanych zorientowawszy się, że zostali oszukani zgłosili się na świadków w tej sprawie. To wstyd przyznać się do swojej delikatnie mówiąc łatwowierności i naiwności — przed żoną, mężem, dziećmi, rodziną, znajomymi. Sądzę, że niektórzy machnęli ręką na dwa, trzy, czy pięć tysięcy — by się tylko nie najeść wstydu. Nigdy nie dowiemy się, ilu ich było — dziesięciu, dwudziestu czy pięćdziesięciu. Cena wstydu jest bowiem różną jak różni są ludzie — dla jednych ceną tą będzie 10 tysięcy zł. a dla innych wartość przejazdu tramwajem bez biletu. Życie, zwyczajne życie.

Pani Krysia własnoręcznie sporządziła listę 29 najdotkliwiej oszukanych przez siebie osób. Ma wprawę i wykształcenie księgowej — są na tej liście rubryki od kogo, na co i ile wzięła, a ile oddała, ile jest im jeszcze „winna" z „pożyczek", które u nich zaciągnęła. A winna jest, jak to wynika z jej obliczeń, 625 tys. zł. Oczywiście nie wie, że ciągle zgłaszają się inni poszkodowani. Tak czy owak — czy też oszustwo jej przekracza sumę 2 milionów złotych jak twierdzi prokuratura, czy też jak sama pani Krysia to przyznaje, „tylko" 625 tys. zł do tej pory nie wiadomo, **co zrobiła z tymi pieniędzmi i gdzie one są.**

ADAM LEWASZKIEWICZ

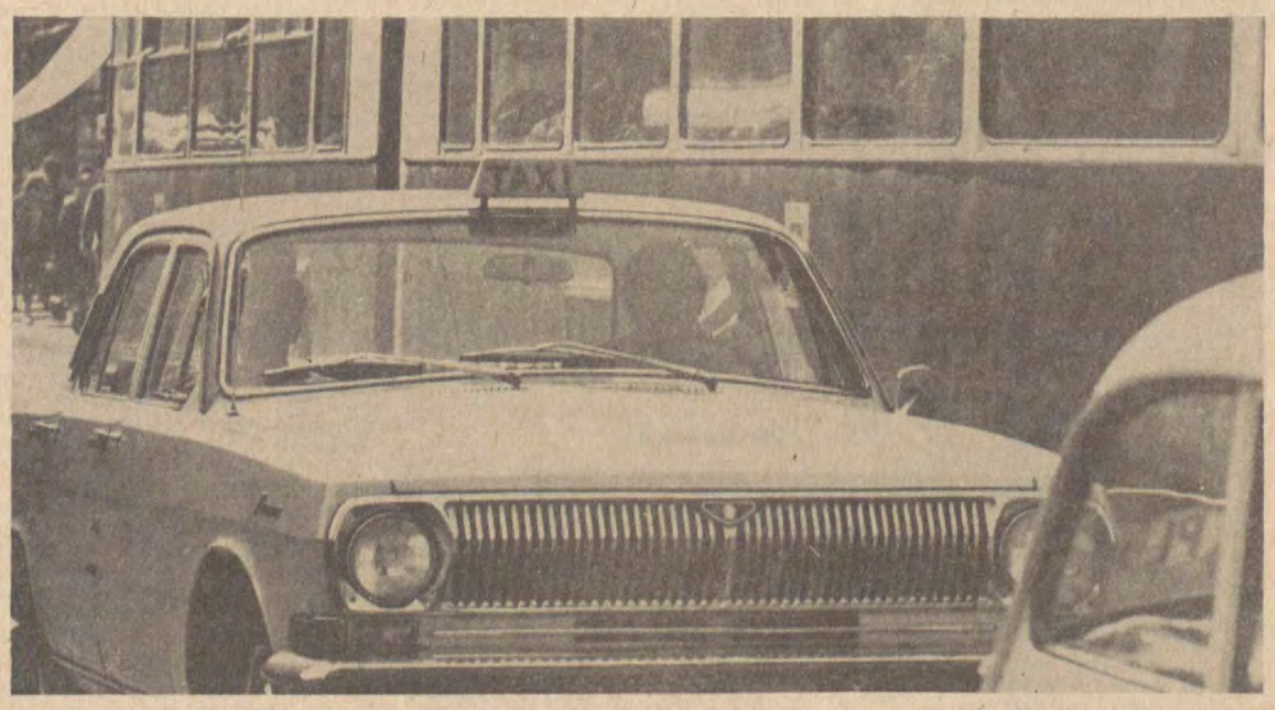

Foto: Włodzimierz Parys

JAPONIA

Jak było naprawdę z herbatą, nie wiadomo. Moi ulubieni autorzy Maria Lemnis i Henryk Vitry powiadają, że pewien mnich buddyjski chcąc ukarać się za to, iż w czasie medytacji zdrzemnął się, odciął sobie powieki i rzucił je z pogardą na ziemię. I oto stał się cud: z powiek wyrosły dwa krzewy, których wiecznie zielone liście mają niezwykłą moc odpędzenia snu.

ZBIGNIEW WOJCIECHOWSKI

PRZEPRASZAM ŻE PIŁEM PIERWSZY...

W Japonii słyszałem, że wspomniany buddysta był bardziej umiarkowany i uciął sobie tylko rzęsy, z których wyrosła herbata. Kaisen Iguchi w wydanej w ubiegłym roku książce „Tea ceremony" twierdzi, że do Japonii herbata trafiła z Chin za pośrednictwem mnicha Zen Eisai, który przesłał ją mnichowi Myde do świątyni Kozanii Tojano w Kioto.

Osobiście jestem przekonany, że to Ewa zamiast dać Adamowi jabłko, zaprosiła go na herbatę i od tego się wszystko zaczęło.

O słuszności mojej tezy, świadczy i to, że wiele pań stosuje ten fortel do dziś, a wielu Adamów nie bacząc na konsekwencje daje się nabrać na tę „herbatkę we dwoje".

Wiem, co potrafią wyczarować ze swojej herbaty Gruzini, wiem jak picie swojej zielonej celebrują Uzbecy, znam pieśni i poematy rozkochanych w herbacie Azerbejdżanów, którzy kazali mi najpierw złożyć przysięgę i dopiero wtedy zdradzili sposoby dobrego zaparzania. W Chinach odmierzałem czas ilością wypitej jaśminowej herbaty, którą z godną podziwu regularnością serwowali przy każdej okazji gościom gospodarze.

Być więc w Japonii i nie zgłębić japońskiej tajemnicy tradycyjnego ceremoniału, o którym się tyle słyszało? Na herbacianą sjestę umawiamy się z Isią. Jest to nasza przewodniczka, Japonka I-Shi, która studiowała w Polsce w Akademii Sztuk Plastycznych w Warszawie, stąd nieźle opanowała nasz język i podejrzewam, że lepiej zna stolicę Polski niż rodzinne Tokio. Bowiem o Warszawie potrafi nam z zapałem opowiadać, natomiast gdy pytamy o Tokio najczęściej odpowiada z rozbrajającym uśmiechem: — Nie wiem, ja mieszkam w innej dzielnicy...

Wybaczyłbym jej tę uroczą nieświadomość, gdyby była jedną z dziesięciu milionów (jak już się podaje) mieszkańców Tokio. Ale przecież ona jest przewodniczką! Więc napieram ostro. Trudno, ja chcę wiedzieć jak wygląda tradycyjny ceremoniał picia herbaty, lubię herbatę i jutro chcę pójść do herbaciarni i usłyszeć od niej, jak według japońskiego obyczaju należy prawidłowo parzyć i pić herbatę. I-Shi, czyli po polsku Isia, tak nasza cicerone każe się nazywać, bowiem woli swoje imię w polskim brzmieniu, znów robi minę pierwszej naiwnej, trzepoce rzęsami, uśmiecha się rozbrajająco i łamaną polszczyzną odpowiada: — Jeszli cesz koniejcznije to bendzjesz mijał... — Umawiamy się na popołudnie.

Jedziemy do Hibiya Park, leżący niedaleko Ogrodów Cesarskich. Z nieodzownym planem metra, którym także posługuje się Isia, zjeżdżamy ruchomymi schodami na stację. Proszę moją przewodniczkę, by pozwoliła mi prowadzić. Tyle słyszałem o złożoności tokijskiego metra, o różnych liniach podziemnej kolei, niezależnych od siebie, mających różnych prywatnych właścicieli, że warto by przy okazji spróbować je jeszcze lepiej poznać zwłaszcza, że pierwsze nieśmiałe próby samodzielnych eskapad wypadły pomyślnie. W automacie kupujemy bilety, przy czym automat nie tylko wyrzuca w odpowiednim miejscu bilet, ale równocześnie z biletem wydaje resztę.

A potem — metro. Normalne. Funkcjonalne. Bez moskiewskiego rozmachu i przepychu, ale też i nie tak brudne jak paryskie. Wagony wygodne. Nie ma tłoku. Na mapce umieszczonej nad drzwiami wejściowymi szukam stacji Hibiya. Odnajduję Hibiya B. St. Nie zwracam uwagi na te trzy dodatkowe literki B. St. i licząc w myślach ilość przejechanych przystanków, wysiadam na według mnie właściwym.

Isia nie protestuje.

Idziemy po schodach do góry. Fotokomórka otwiera drzwi. Wita nas lekko ściszona muzyka, dyskretna. I nagle konsternacja. Przed nami w gablotach błyszczą diamenty, brylanty, sznury pereł, kolie z platyny i białego złota. Tracę rezon. Czyżbym jakimś bocznym wejściem przypadkowo trafił na zaplecze sklepu jubilerskiego? Zaraz ktoś się zjawi i posądzi, ani chybi, o niecne zamiary. Isia widocznie zauważyła moją konsternację, ale wzięła ją za zdumienie na widok takiego bogactwa.

— No, wejdź do środka, ja wiem i tak, że nic tutaj nie kupisz!

Oczywiście, że wchodzę i to pewnym krokiem. Niech sobie nie myśli żem w świecie nie bywały, choć prawdę mówiąc, tyle bogactwa w takim wyborze w jednym sklepie naraz nie widziałem. Okazuje się bowiem, że jest to całe piętro z kosztownościami, wielokondygnacyjnego magazynu. Ale na razie o tym nie wiem. Idę wyżej, tam znów całe piętro magnetofonów i odbiorników, jeszcze wyżej aparaty i sprzęt fotograficzny. Setki, tysiące najróżniejszych kamer, statywów, lamp — wszystko co można wymarzyć.

Ale my szukamy wyjścia na ulicę. Nie wiemy, czy jesteśmy pod ziemią czy już nad. Drugie Tokio mieści się bowiem pod ziemią, to właśnie ogromne magazyny, całe dzielnice restauracji, księgarni, sklepów z płytami, do których droga prowadzi metrem.

Przy wejściu do takiego centrum handlowego niezorientowany otrzymuje przy wejściu specjalną mapę, plan domu. Kolorowy, przejrzysty. Ale my na razie bez planu, zagubieni, bezradni jak dzieci, krążymy po piętrach magazynu. Dopiero po blisko kwadransie błądzenia po piętrach i wokół rozlicznych stoisk okazało się, że stację metra zbudowano wewnątrz wielkiego domu towarowego, który nazywa się Hibiya Building. Magazyn wziął nazwę od parku i stąd „B. St" — na które nie zwróciłem uwagi.

Taką to porażką zakończyła się moja eskapada w roli przewodnika po tokijskim metrze. By jednak sprawę moich porachunków z metrem zakończyć powiem tylko, że tak się później zawziąłem, że nie wychodziłem na światło dzienne, snułem się od stacji do stacji powtarzając uparcie „ja to metro rzucę na kolana", aż wreszcie zupełnie nieźle się w nim czułem i stojąc na przystanku byłem pewniejszy niż na Piotrkowskiej, gdyż tam wiedziałem, że za dwie minuty pojazd przyjedzie.

Foto: Archiwum

Szokujące przybysza z Polski trój- i dwupoziomowe, zawieszone ponad dachami domów drogi szybkiego przebiegu — znane są z licznych korespondencji i publikacji.

Piesi tamtędy nie chodzą. Raz, że wysoko, a poza tym niebezpiecznie. Tamtędy sunie tylko, nie wywołując tak jak u nas hałasu, rzeka samochodów. Pośród niej, jak wianki na św. Jana z zapalonymi świeczkami, tak one ze świecącymi na dachach kogutami w kształcie kul, kwadratów, grzybów i półksiężyców, płyną taksówki. Jest ich tak wiele, że zastanawiałem się czy rzeczywiście ten interes im się opłaca. Taksówkarze są bezbłędnie czujni. Wystarczy, że podniesiesz rękę do góry, by grzebieniem poprawić zmierzwioną fryzurę, a już staje obok ciebie samochód i z suchym chrzęstem otwierają się automatycznie drzwiczki. Nikt nie grymasi, wręcz przeciwnie — z uśmiechem zaprasza do środka.

Jesteśmy z Isią w herbaciarni. I tu znów kolejne zaskoczenie. Herbaciarnia, owszem, w stylu japońskim, a nie łowickim, ale wszyscy ubrani w normalne stroje europejszczyków, dziewczyny z nienagannie zrobionym delikatnym makijażem, w modnych dżinsowych sukienkach lub innych strojach rodem z „Elle" i „Burdy", zaś panowie w eleganckich garniturach. Modne fasony marynarek, bardziej w stylu angielskim, odcienie szarości, biel koszul, stonowane krawaty.

Francja — elegancja, finezja — Rodezja, Szwecja — dyskrecja, wysoka, życiowa stopa — Europa. Jeszcze nie ochłonąłem, bowiem zupełnie inaczej wyobrażałem sobie japońską herbaciarnię, z kimonami, lampionami i całym japońskim anturażem, gdy Isia miast mówić mi o dawnych tradycjach, o skomplikowanym ceremoniale picia herbaty, wręcza amerykańską książeczkę, kolorowo wydaną, z licznymi zdjęciami, przetłumaczoną przez Johna Clarka, pod tytułem „Tea ceremony". Wręczając mi ją mówi:

— Chciałeś dowiedzieć się, jak się pije herbatę według starej tradycji japońskiej, to proszę, przeczytaj sobie... — U nas nikt nie ma czasu na taką celebrację. Tradycja, to zbyt duży luksus dla kraju, który rozwija się w szybkim tempie.

Rzeczywiście, Japończycy, mimo, iż kochają się w swych kimonach — lampionach, uwielbiają swoje święta, znają też cenę jaką muszą płacić, by być czwartym mocarstwem świata. Oni muszą stale szybko i to bardzo szybko iść naprzód i gonić tych co w przodzie, tych, którzy nie zatrzymają się i nie będą na nich czekać. Nic dziwnego, że karkołomną, a jednak dającą zaskakujące efekty ekonomiczne japońską politykę gospodarczą określa się „strategią pędzącego roweru". Jeśli rower jest rozpędzony, łatwo się na nim utrzymać, spróbuj jazdę zwolnić, względnie stanąć. Wiadomo, że wszystko się wywraca. Więc jeśli tak, to żadna tradycja nie może wstrzymać „japońskiego roweru".Gdy przed Olimpiadą Iciro Kono, minister odpowiedzialny za Igrzyska, rozpoczął z niespotykanym rozmachem przebudowę komunikacji Tokio, gdy rozpoczęto budowę słynnych dróg napowietrznych, całego systemu dróg obwodowych i gwiaździstych, po których teraz płynie się ponad dachami miasta, bez żadnej publicznej dyskusji wyburzano całe dzielnice, bez słowa prezneszono obiekty historyczne, wycinano całe parki.

Picie herbaty według tradycyjnego ceremoniału, musi poprzedzić specjalne zaproszenie, w którym gospodarz musi określić liczbę osób, następnie wymienić kto będzie na spotkaniu, kto będzie głównym gościem, czy będzie to spotkanie przyjaciół, czy też spotkanie formalne z posiłkiem, czy tylko celebracja i jaki rodzaj herbaty będzie się piło.

Grubo czy cienko krojoną. W niektórych szkołach parzenia herbaty, a jest tych szkół wiele, od gatunku herbaty uzależniony jest rodzaj węgla, podgrzewacza, a nawet kto ją parzy. Gdy herbatę parzy kobieta powinna mieć na sobie strój w intensywnych kolorach, gdy mężczyzna — strój z czarnego płótna, który składa się między innymi ze spódnicy plisowanej, zwisającej od bioder. W szkołach typu Senke tylko sam strój opisany jest w tak zwanych 10-ciu zaletach. Ogólnie przyjmuje się, że cienko pokrojona herbata pozwala na mniej eleganckie stroje — mogą być nawet zachodnie.

Gdy goście potwierdzili przyjęcie zaproszenia, można rozpocząć sejstę. W wyznaczonym dniu, na 20—30 minut przed wyznaczoną godziną rozpoczęcia ceremoniału, zjawiają się goście. Mają ze sobą nowe skarpety, które zakładają w pokoju oczekiwań. W tym miejscu trzeba powiedzieć, że od XV-go wieku do picia herbaty buduje się specjalne pomieszczenia, które zapewniają spokój i odpowiednie skupienie. Pierwszy taki pokój przyjęć powstał w okresie Muromachi, a pierwszym, który zbudował takie pomieszczenie był Ashikaga Yoshimasa, który otworzył herbaciarnię w rogu Togudo w środku Srebrnego Pawilonu. To oczywiście nikomu nic nie mówi, ale świadczyć może o tym, że tylko o samym pomieszczeniu do picia herbaty napisano całe tomy, no bo nawet rozmieszczenia mat, dekoracja pomieszczenia ma w całym rytuale swoje znaczenie.

Na razie goście zdjęli już obuwie, założyli skarpety i czekają na gospodarza. Gdy gospodarz powita ich i otworzy drzwi, należy przejść przez nie ze spuszczoną głową, z uniżoną godnością, w pokorze. Główny gość spogląda potem na zawieszone wersety, napisy i stwierdza czy to stara kaligrafia, jakiego pisarza jest to wiersz, z jakiego pisma werset, Ten cytat oznacza hasło ceremonii. Potem trzeba rozglądać się po pokoju, patrzeć na kwiaty, rozkoszować się ułożeniem ich w ikebanę. W tym czasie gospodarz rozkłada wszystkie przybory do parzenia i naczynia do picia herbaty, a także podaje ciastka. Wtedy główny gość siada, bierze ciastko w palce, drugą ręką talerz i mówi do gospodarza: — Dziękuję za te rzeczy. Rytuał zezwala, by nie zjedzone ciastko położyć obok lewego kolana, następnie zawinąć w papier, zabrać do domu i tam je zjeść. Jednakże wtedy, jedząc w domu, trzeba dobrze wspominać gospodarza.

Gdy goście jedzą — gospodarz przygotowuje herbatę. Nie opisuję każdego naczynia, które ma swój historycznie uzasadniony kształt. Każda szkoła ma inny. Na przykład kształt pojemnika, w którym przechowuje się herbatę. Są pojemniki płasko-szerokie Hira -Watsume, okrągłe Maru-Watsume i średnie Chu-Matsume. Każdy z tych rodzai dzieli się znowu na trzy podgrupy. Duże, średnie, małe. To samo jest z miseczkami, nie mówiąc o czajniczkach, o których Rikuu napisał cały poemat. Otrzymał go mnich Myoe ze świątyni Kozan-ji, a na czajniczku wtopiono nawet słowa 10-ciu cnót herbaty. Każdy kształt ma swoje znaczenie, nawet każdy gest. Na przykład — nie miesza się herbaty ruchem kolistym, tylko z lewa na prawo i nie nadgarstkiem, ruch wykonuje się całym ramieniem.

Gdy herbata już zaparzona (poleca się brać jedną i pół specjalnej łyżeczki na trzy i pół łyka, wody?!). Główny gość kładzie czarkę między siebie a sąsiada i mówi: — Przepraszam, że piję przed tobą. Smakuje pierwszy łyk, a następnie zwraca się do gospodarza: — Bardzo dobra jest ta herbata. Po wypowiedzeniu tych słów, ponownie podnosi czarkę lewą ręką i stawia ją prawą ręką na lewej dłoni, lekko ją przechylając w stronę gospodarza. W ten sposób wyraża się jedną z idei buddyjskich, a mianowicie wdzięczność i kurtuazję.

Dziś oczywiście na to czasu nie starcza. Herbatę się pije dlatego, że ktoś ma pragnienie, albo chce się z kimś spotkać i przy herbacie załatwić jakąś sprawę, interes. Na celebrację brak czasu. Zresztą współczesny Japończyk, szanując tradycję, nie może się zgodzić na takie marnotrawstwo. Isia też już się kręci i wierci, uważa bowiem, że sprawa jest załatwiona. Co miała zrobić dla mnie to zrobiła. O ceremonii herbacianej mam pojęcie, herbata wypita i zapłacona, trzeba jechać dalej.

KSIĄŻKA

„WIELKA LICZBA"

Nikt nie lubi samotności. Wszyscy się przed nią bronią stosując najróżnorodniejsze środki: wyszukują sobie (jeżeli go nie mają do tej pory) hobby, uczą się, biegają na spotkania ze znajomymi, oglądają filmy, słuchają radia.

Każdy swoją samotność przeżywa inaczej.

Specyficzny rodzaj samotności zaprezentowała nam Wisława Szymborska w swoim najnowszym zbiorku pt. „Wielka liczba".

Jest to samotność kobiety dojrzałej i w pełni świadomej swojego wyizolowania. Samotność niejako z wyboru. Na jej wyobraźnię nie działa świadomość istnienia miliardów innych ludzi. Nie identyfikuje się z nimi w ich tragediach. Dla niej ich dramaty to błahe wydarzenia, najważniejsze co ją interesuje to własna „poszczególność". Dla ilustracji przytoczymy może kilka fragmentów wierszy z tomiku:

„Sny moje — nawet one nie są,
jak należałoby, ludne.
Więcej w nich samotności niż tłumów i wrzawy.
Wpadnie czasami na chwilę ktoś
dawno umarły.
Klamką porusza pojedyncza ręka".

(Wielka liczba)

„Aby nie patrzeć dłużej na sprawiedliwy kark
męża mojego, Jota.
Z nagłej pewności, że gdybym umarła,
nawet by nie przystanął.

(Żona Lota)

To zamknięcie się w swoim „ludzkim państwie" często przechodzi w obojętność i egoizm:

„I oto ten na drodze żuk (...)
Wystarczy tyle o nim pomyśleć,
wygląda że nie stało mu się nie ważnego.
Ważne związane jest podobno z nami".

(Widziane z góry)

Wyżej zasygnalizowany problem jest nowym tematem w twórczości Szymborskiej. Ale w tomiku dochodzą także do głosu tematy znane nam z innych zbiorków. Często w swoich poprzednich utworach poetka zastanawiała się nad sensem życia ludzkiego, czym ono jest we wszechświecie, czy coś znaczy. Zawsze uważała, że byt nasz jest tylko przypadkowym, istnieje niezauważalnie w całym kosmosie. Natomiast „Życie trwa kilka znaków pazurkiem na piasku". Ponadto jest ciągłą premierą, niczego nie można cofnąć i zrobić raz jeszcze.

W tych rozważaniach autorki rodzą się pytania w jaki sposób żyć, aby nasze istnienie nie było potwierdzeniem tezy o jego przypadkowości. Czy bez miłości i namiętności, ale za to niezauważalnie i niepełnie (w samotności).

Czy wybrać sobie jakąś pozę i konsekwentnie ją stosować, czekając na uznanie i oklaski.

Wiele jeszcze innych problemów i prób ich rozstrzygnięcia przynosi tomik Wisławy Szymborskiej, ze względu jednak na szczupłość miejsca zaledwie je zasygnalizuję. A więc i tu jak w poprzednich utworach dochodzi do głosu leciutka ironia poetki w patrzeniu na świat (Sen starego Żółwia, Miniatura średniowiecza, Recenzja nie napisanego wiersza). Jako głęboka humanistka nie pozostaje Szymborska nieczuła na wady ludzkie (Ostrzeżenie, Cebula).

Już w 1968 r. recenzując na łamach Nowych Książek tomik Szymborskiej „Sto pociech" Julian Przyboś pisał: „z każdym nowym tomem sztuka poetki nabiera sprawności i blasku, a dziś jej oryginalny styl osiągnął swą doskonałość". Wydany obecnie tomik jest jeszcze jednym potwierdzeniem tej wypowiedzi.

G.SZ.

Wisława Szymborska: Wielka liczba, W-wa 1976, s. 43, cena 17,— zł.

MUZYKA

„BROTERHOOD OF MAN"

O tej grupie wokalnej mówi się i pisze w wielu krajach dopiero od kilku miesięcy, a dokładnie — od 4 kwietnia 1976 roku. Tego właśnie dnia, w godzinach wieczornych, okazało się, że brytyjski zespół „Brotherhood of Man" to dwudziesty pierwszy właściciel trofeum „Grand Prix Eurovision" (Konkurs Piosenki Eruowizji w Hadze), a jaką wartość ma ta nagroda nie trzeba chyba nikomu wyjaśniać.

Zespół zadebiutował jako kwartet przebojem „Where Are You Going to My Love". Później dołączył jeszcze do grupy menager zespołu — John Goodison, który nagle odkrył w sobie talent wokalny. Tak więc od roku 1972 zespół występował w składzie pięcioosobowym: David Hunter, John Goodison, Charles Mills, Loretta Noblet i Joyce Smith. Grupa nagrywała niewiele, a ich utwory nie wzbudzały specjalnego zainteresowania. W tej sytuacji kierownik grupy stwierdził, że oczekiwana sława nie nadejdzie nigdy i zadecydował o rozwiązaniu się formacji. Pozostała jedynie nazwa (oznaczająca braterstwo ludzkości). Podchwyciła ją grupa, która pojawiła się latem 1973 roku w zupełnie innym — nowym składzie.

Sukces zespołu „Brotherhood of Man" w Konkursie Eurowizji nie był zaskoczeniem dla brytyjskiego środowiska muzycznego. Od kilku lat bowiem grupa cieszyła się znaczną popularnością w kraju rodzinnym. Zasługa to zarówno samych członków zespołu, jak i ich nowego menagera — Tony Hillera, który jest współautorem wszystkich wcześniejszych przebojów zespołu: „United We Stand", „California Sunday Morning", no i piosenki-laureatki „Save Your Kisses For Me". Piosenka ta tuż po programie telewizyjnym trafiła na listy przebojów niemal wszystkich krajów europejskich. Płyta z jej nagraniem rozeszła się w samej tylko Wielkiej Brytanii w ilości miliona egzemplarzy stając się „Platynową Płytą". Członkowie „Brotherhood of Man" otrzymali również „Złote Płyty" od francuskiego dystrybutora ich nagrań. Piosenka osiągnęła też szczyty popularności w Danii, Holandii, Belgii, Grecji i Irlandii; podbiła nawet trudny rynek amerykański. Również w Polsce nie ma chyba młodego człowieka, który nie potrafiłby zanucić choćby refrenu „Save Your Kisses For Me". Popularyzację tej i innych piosenek w naszym kraju zespół zawdzięcza głównie redakcji muzycznej programu I PR oraz audycji „Studio-2" Telewizji Polskiej.

Tony Hiller oraz członkowie zespołu: Martin Lee i Lee Sheridan są również autorami niemal wszystkich piosenek, które znalazły się na ostatniej płycie grupy zatytułowanej „Love and Kisses". „Brotherhood of Man" mają także na swym koncie kilka przebojów (poza wspomnianym), które zrobiły karierę na kontynencie europejskim. Piosenka „Lady" znalazła się na pierwszych miejscach list przebojów w Holandii i Francji, a następny szlagier — „Kiss Me Kiss Your Baby" zyskał tytuł „Złotej Płyty" we Francji i Belgii.

W skład tego wokalnego kwartetu wchodzą: Nicky Stevens i Sandra Stevens oraz Martin Lee i Lee Sheridan. Przed założeniem zespołu Nicky występowała w kabaretach, Sandra była wokalistką współpracując ze znanymi orkiestrami, Lee nagrywał solowe płyty, a Martin był gitarzystą w kilku zespołach rockowych.

Przed młodymi brytyjskimi wykonawcami — zapewne dalsze sukcesy, tym bardziej, że produkcje zespołu to sympatyczne, wdzięczne i melodyjne utwory. W jednym z licznie udzielanych wywiadów zespół stwierdził, iż nie zastanawia się zbyt głęboko, jakimi są ich piosenki. Członkowie grupy robią po prostu to, co sprawia im największą radość. Gdyby zajęcie to przestało ich bawić i pociągać, a jedynie zmuszało do samego zarabiania pieniędzy, szybko zrezygnowaliby z uprawiania działalności estradowej.

STANISŁAW WILCZYŃSKI

ŻYCIE SPOŁECZNE

„OPIEKUNKĘ do DZIECI PRZYJMĘ..."

Dalszy ciąg ze str. 1

Ślisko, wózek to jedyne oparcie, punkt, pewność. Jeszcze tylko przejście przez jezdnię. Głowa w lewo, w prawo i drobny starczy trucht. Samochodu nie widać, ale strzeżonego dobry Pan Bóg strzeże. Krawężnik. Sztukę pokonywania krawężnika opanowały już dawno. Można przodem, trzeba tylko mocno pchać. Najlepiej tyłem, odwraca się wózek i podciąga do góry tylne koła. Jak to dobrze, że do parku jest tylko kilkadziesiąt metrów. Ci, którzy nie mają takich przyblokowych parków wiedzą, jak trudno wepchnąć się z wózkiem do wypełnionego tramwaju, aby przejechać te dwa, trzy przystanki do najbliższego skweru. Poza tym strach, nie tak dawno pisali w gazecie o motorniczym, który ruszył z przystanku w trakcie wsiadania matki z maleńkim dzieckiem w wózku. Maleństwo wypadło na jezdnię i ze wstrząsem mózgu zostało odwiezione do szpitala. Przyblokowy park jest więc dobrodziejstwem.

O szesnastej wychodzą te młode. Niektóre zupełnie smarkate. Niedbale sadzają dziecko na wózku, potem pędzą do parku, jedno kółko wokół trawnika, drugie i z powrotem do domu, bo mąż wróci lada chwila, a tyle jeszcze trzeba zrobić po przyjściu z pracy.

ZWIERZENIA ZOFII

Zofia: — Wydawało się, że wszystko dobrze zaplanowaliśmy. Najpierw mąż skończył studia, zaczął pracować. Od razu zapisał się w Radzie Zakładowej na pożyczkę mieszkaniową. Kiedy dostaliśmy pożyczkę, ja skończyłam studia. Ale od pożyczki do własnego mieszkania daleka droga. Wynajęliśmy więc sublokatorkę. W pierwszym roku to mąż przebąkiwał coś o dziecku, ale szybko mu wyperswadowałam. Najpierw musimy mieć mieszkanie. Bez mieszkania nigdy nie zgodzę się na dziecko. Czekaliśmy na to wymarzone mieszkanie niedługo, mąż dostał z zakładu. W ciągu tych trzech lat awansował, stał się cenionym specjalistą, no i zakład w nagrodę przydzielił mu M-3 z fabrycznej puli.

Kiedy wprowadziliśmy się do nowego mieszkania, mąż znowu zaczął mówić o dziecku. Powiedziałam wtedy: czekaliśmy trzy lata, poczekamy jeszcze rok; najpierw musimy umeblować to nasze M-3. Potem moja firma wysłała mnie na roczny kurs, a on kupił samochód. To znaczy, te dwie rzeczy zbiegły się w czasie. Skończyłam kurs, a on powoli kończył spłacać pożyczkę, jaką zaciągnął w banku na zakup „malucha". Zanim stanęliśmy trochę na nogi, nawet na książeczkę coś tam było odłożone, upłynęło trochę czasu. Wtedy mąż któregoś dnia powiedział: właściwie mamy wszystko, urządzony dom, samochód, ustabilizowane pozycje w pracy, teraz czas na dziecko.

Urodziło się przed dwoma laty. Zaplanowane, przewidziane, oczekiwane. Wszyscy cieszyliśmy się, bo dziecko nie chorowało, nie płakało w nocy. Problemy zaczęły się dopiero po 3—5 miesiącach, kiedy skończył się mój urlop macierzyński i musiałam iść do pracy.

DIALOG Z ZOFIĄ

W ich domu bywam często. Lubię ich, ona ceniony geodeta, on inżynier, zdolny, podobno rzutki pracownik, może trochę zarozumiały, ale dzisiaj młodzi umieją i chcą się cenić. Lubię ich także dlatego, że znajduję w ich domu, ciepło rodzinne, tak rzadkie w młodych stadłach. Dom zadbany, dobrze zagospodarowany, w barku zawsze znajdzie się kropla czegoś mocniejszego, którą można wypić w przytulnej, domowej atmosferze. Lubię ich za ową serdeczność, jaką zawsze odczuwam w ich wzajemnych kontaktach. Nie, nie żadnego mizdrzenia, żadnego tam „ciapeczku", „koteczku", „żabusiu". Oni naprawdę kochają się. Lubię także ich grubiutką Kasię, jej ostrzyżona główka miga co chwila w przejściu między pokojami. Kasia jest na etapie zafascynowania ruchem, możliwością nagłego przemieszczania się z pokoju do pokoju, przebiegania pędem 17 metrów kwadratowych. Lubię całą ich trójkę.

Po trzech i pół miesiącach urlopu macierzyńskiego Zofia musiała wrócić do pracy. Musiała?

Zofia: — Trzyletnie urlopy to naprawdę błogosławieństwo dla młodych matek. Każda z nas skorzysta z tego urlopu. Tym bardziej że przybył przecież nowy członek rodziny: Kasia. Poza tym, pamiętaj o moich aspiracjach zawodowych. Ty myślisz, że ja kończyłam studia po to, żeby zostać gospodynią domową?

Ja: — Rozumiem, że masz ambicje zawodowe. Rozumiem, że chcesz pracować. Ale przecież po urlopie wrócisz do pracy, nie musisz rezygnować z ambicji.

Zofia: — Wrócę? Po co? Chyba tylko po to, żeby stwierdzić, że wszystko zapomniałam, że zostałam w tyle, że na moim miejscu jest ktoś inny, młodszy, wciągnięty w pracę, w problemy firmy. Nie wyobrażam sobie takiego powrotu.

Ja: Oddaj dziecko do żłobka.

Zofia: — I to mówisz ty, dziennikarz? Na jakim ty świecie żyjesz?

RACJA KIEROWNICZKI ŻŁOBKA

— Proszę pana, choćbym chciała, to nie mogę przyjąć dziecka. Niech pan sam spojrzy. Mamy tu tyle dzieci, że dawno już przekroczyliśmy wszelkie dopuszczalne normy. Poza tym nie mam personelu. Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, jak trudna jest praca wychowawczyni w żłobku? Przecież tu przynoszą nam maleństwa, którymi trzeba umieć się zająć. No, a przede wszystkim kochać dzieci. Gdzie indziej praca lżejsza i zarobek większy. Nic więc dziwnego, że pracownice uciekają. A tu matki z płaczem przynoszą dzieci, błagają, żeby przyjąć, bo co mają z nimi zrobić? W domu zostawić? Jestem bezradna, tak jak i one.

POCIECHA CZY KŁOPOT?

Marek: — Kiedy Zosia miała wrócić do pracy, zacząłem starania o przyjęcie dziecka do żłobka. Znasz już skutek moich starań. Powiem ci szczerze, że nawet w pierwszej chwili ucieszyłem się z tego, że odpadł nam ten żłobek. Pewnie słyszałeś o tych żłobkowych epidemiach. Matki, wbrew wskazaniom personelu, po prostu podrzucają żłobkom chore dzieci. Te, które przynoszą dzieci z gorączką, zostają odesłane do domów. Ale nie zawsze temperatura idzie w parze z początkiem choroby. Dopiero później, nie zawsze wiadomo jak i skąd, połowa dzieci zapada na tę samą chorobę. Zapytaj w byle którym dziale kadr, to dowiesz się, że młode matki częściej siedzą na zwolnieniach niż w pracy. Toteż w pierwszej chwili ucieszyłem się z tej odmowy. Ale przyszedłem do domu bez żadnego rozsądnego pomysłu. A raczej z jednym, żeby Zofia rzuciła na trzy lata pracę.

Zofia: — Marek jak zwykle żartuje. Cieszyć się nie było z czego. To była klęska. Za kilka dni miałam rozpocząć pracę. Wtedy zwróciliśmy się do naszych matek. Ale obie pracują. Mają ambicje zawodowe, czują się młode, potrzebne, a przede wszystkim odżegnują się jak diabeł pod święconej wody od wychowywania wnucząt.

Marek: — To nasze matki podsunęły nam pomysł dania oferty do gazety. Jedna nawet sformułowała tę ofertę: „Opiekunkę do czteromiesięcznego dziecka zaraz przyjmę. Warunki bardzo dobre. Adres..." Ogłoszenie dałem do wszystkich trzech gazet. Tak mi poradzono. Opiekunki — powiedziano mi — dzielą się na te, które czytają tylko „Dziennik", inne — „Express" a inne — „Głos".

Zofia: — W tym dniu, kiedy daliśmy ogłoszenie do gazet, obudził nas już o w pół do szóstej dzwonek. Jakaś staruszka trzymała w ręku gazetę z naszą ofertą. Wpuściłam ją do domu. Obejrzała mnie od stóp do głów, aż mi było trochę głupio, bo na noc zaplotłam papiloty. Zaprosiłam ją do pokoju. Buty zdjęła, choć nie pozwalałam i usiadła. Rozejrzała się po pokoju, popatrzyła na ściany. U nas jest kilka obrazów, jeden nawet dość frywolny. Kiedy chciałam porozmawiać o warunkach, wstała i dość pośpiesznie wyszła. Druga była o dziewiątej. Obejrzała dziecko i mieszkanie. Najpierw mieszkanie, potem dziecko. Kiedy dopiekunka jest — delikatnie mówiąc — pijaczką. Kiedy więc zachorowało dziecko, skorzystałem ze zwolnienia lekarskiego Zosi i wyrzuciłem opiekunkę. Natychmiast pobiegłem do Biura Ogłoszeń. Ta urzędniczka, która przyjmowała poprzednią ofertę, poznała mnie. A to pan, powiedziała, tak szybko?

Zofia: — Od tej pory mieliśmy już cztery opiekunki. Każdej płacimy coraz więcej, każdej dajemy przy byle okazji drobne upominki, przypochlebiamy się na potęgę. Bez skutku. Każda odchodzi, czasem w zgodzie, czasem zaś z moim sweterkiem...

W końcu trafiliśmy na wprost idealną opiekunkę. Ma siedemdziesiąt cztery lata, ale doskonale się trzyma. Bardzo dba o dziecko, nawet w domu posprząta. Ale przed kilkoma dniami powiedziała nam, że musi odejść, czuje się już zmęczona. Rozumiemy ją, ale co mamy zrobić? Znowu dać ogłoszenie do gazety?

MIROSŁAW KUŹNIAK

Foto: Archiwum

U PRZYJACIÓŁ

W bieżącym roku społeczeństwo radzieckie obchodzić będzie 60 rocznicę Wielkiej Rewolucji Październikowej. O zamierzeniach repertuarowych teatrów w związku z tą rocznicą pisaliśmy już na naszych łamach wielokrotnie. Ale do tego święta przygotowują się nie tylko organizacje zajmujące się przygotowaniem imprez. Wszystkie bez wyjątku instytucje kulturalne dokonują bilansów dorobku pierwszego na świecie państwa socjalistycznego.

W wielkim dziele, jakim było stworzenie, na teoretycznej podstawie naukowego socjalizmu nowych stosunków społecznych, szczególna rola przypadła właśnie kulturze. Skarbiec jej stał się w warunkach nowej polityki kulturalnej własnością ogólnospołeczną.

Naczelnym zadaniem jakie wyznaczono w kulturze w Kraju Rad było umacnianie komunistycznego światopoglądu, służenie postępowi społecznemu i wszechstronnemu rozwojowi osobowości człowieka.

Dzięki konsekwentnemu wcielaniu w życie leninowskich zasad polityki kulturalnej, społeczeństwo radzieckie osiągnęło nie znany dotąd poziom rozwoju kultury. Jest dzisiaj najbardziej oczytanym społeczeństwem świata, do czego przyczynia się niewątpliwie bogata działalność wydawnicza, szeroko rozwinięta sieć bibliotek, udostępnianie arcydzieł literatury rodzimej i światowej w przekładach nie tylko na język rosyjski, lecz również na prawie 60 pozostałych języków narodów Kraju Rad. Ogólny nakład książek i broszur opublikowanych przez 195 wydawnictw w samym tylko 1975 r. wyniósł astronomiczną liczbę 1 mld 671 mln 786 tys. egzemplarzy. Łączne zasoby 131,3 tys. bibliotek osiągnęły 1.540,5 mln egzemplarzy książek i czasopism, i nadal rosną. Świat zapoznaje się z osiągnięciami radzieckiej kultury, nauki i techniki dzięki publikacjom wydawanym w 50 językach obcych.

Równie imponujące są statystyki obrazujące inne formy korzystania przez społeczeństwo Kraju Rad z dorobku kulturalnego oraz pomnażania go o nowe wartości. Tylko w ubiegłym roku 1295 istniejących w ZSRR muzeów zwiedziło 135 mln osób. Potrzeby kulturalne społeczeństwa zaspokajało 135 tys. klubów. Osiągnięcia te związane m. in. z szerokim upowszechnianiem wartości kultury — przyczyniły się do wykształcenia w społeczeństwie radzieckim wielkiego ciągu do dzieł reprezentujących najwyższe walory artystyczne i społeczne. Każdy, kto był w Związku Radzieckim wie, z jaką pasją witaną tam jest nowa książka, film czy spektakl, jak wyrobiony jest smak publiczności teatrów i sal koncertowych. Wysoki poziom kulturalny społeczeństwa radzieckiego łączy się niewątpliwie z osiągnięciami oświaty, szkolnictwa i systemu doskonalenia kwalifikacji dorosłych.

Różnymi formami kształcenia objętych było w ubiegłym roku 90 mln osób. Zakończono w zasadzie wprowadzanie powszechnej szkoły średniej. Zagadnienia kultury są w Związku Radzieckim również przedmiotem dociekań naukowców zajmujących się problematyką rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego. Socjalistyczna kultura sprzyja pełniejszemu rozwojowi i ujawnianiu twórczych zdolności ludzi pracy, rozwijaniu ich potrzeb społecznych, rozbudzaniu twórczej energii mas budujących nowe, wyższe formy współżycia między ludźmi. Opiera się ona na dorobku cywilizacji światowej, wchłania wszystko co najlepsze, stworzone i tworzone przez setki narodów i narodowości, ożywa, włączając do współczesnego życia wartości możliwiła syntezę najcenniejszych kulturalne przeszłości.

Dopiero kultura socjalistyczna ukultur etnicznych. W wielu przypadkach dzięki realizacji leninowskiej polityki kulturalnej, dorobek twórców należących do małych narodów został zaprezentowany szerokiemu gronu odbiorców, uzyskał godne miejsce w kulturze światowej.

RWPG

WSPÓLNOTA NAJBARDZIEJ DYNAMICZNA

Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej jest najbardziej dynamiczną wspólnotą ekonomiczną w świecie i odgrywa ogromną rolę w umacnianiu ekonomicznej i politycznej potęgi światowego socjalizmu. Dzięki szybkiemu rozwojowi ekonomicznemu krajów członkowskich tej organizacji, jak również ich konsekwentnemu dążeniu do międzynarodowej współpracy bez dyskryminacji i prób mieszania się w wewnętrzne sprawy państw, RWPG zdobywa w świecie coraz większy autorytet.

W miarę zwiększania się politycznych i socjalnych osiągnięć krajów socjalistycznych oraz towarzyszących im wyników ekonomicznych, rośnie zainteresowanie Radą Wzajemnej Pomocy Gospodarczej. Świadczy o nim rozszerzenie kontaktów ekonomicznych krajów naszego obozu z krajami niesocjalistycznymi. Coraz bardziej interesują się Radą kraje rozwijające się. XXX Sesja RWPG — odbyła się w ub. roku — zaaprobowała dwa porozumienia o współpracy RWPG z Irakiem i Meksykiem.

Ekonomiczna współpraca krajów naszego obozu jest jednym z najważniejszych czynników konsolidacji oraz umacniania potęgi krajów wspólnoty socjalistycznej, jak również utrwalania jej międzynarodowej pozycji. Stwarza ona szerokie perspektywy dalszego doskonalenia współpracy w dziedzinie wspólnych programów docelowych, a także, w toku nabywanego doświadczenia, pozwala na wykrywanie coraz to nowych walorów socjalizmu. Na porządku dnia wspomnianej już XXX Sesji RWPG stały takie ważne problemy, jak przygotowanie wspólnych długoterminowych docelowych programów w dziedzinie paliwowo-energetycznej i surowcowej, w dziedzinie przemysłu budowy maszyn, zabezpieczenie ludziom pracy podstawowych produktów żywnościowych, rozszerzenie produkcji towarów masowego spożycia, rozwój transportu i in. Uzgodnione wielostronne przedsięwzięcia integracyjne, których plan przyjęła sesja, ukierunkowano na osiągnięcie głównych celów nakreślonych przez bratnie partie krajów wspólnoty socjalistycznej: zabezpieczenie stałego wzrostu produkcji, rozwoju nauki i kultury, stworzenie dobrobytu narodowego. Kraje socjalistyczne dążą do rozszerzenia swojej integracji ekonomicznej, odpowiada ona bowiem interesom każdej strony uczestniczącej w tym procesie.

Przyciągająca siła międzynarodowych stosunków nowego typu w ramach Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej sprzyja wzrostowi liczby krajów zainteresowanych we współpracy z RWPG.

Oto, co mówi na ten temat znany zachodnioniemiecki specjalista z dziedziny międzynarodowych stosunków ekonomicznych prof. Matthäus Schmidt w wywiadzie udzielonym dziennikowi „Ost-West Kommerz". Wywiad ukazał się pod tytułem: „Rola krajów RWPG w ekonomice światowej będzie się zwiększać".

Pytanie: Czy uważa pan rynki RWPG za obiecujące i co pan sądzi o poglądzie, że handel ze Wschodem ma znikome znaczenie?

Odpowiedź: Handel ze Wschodem, a także inne stosunki między Wschodem i Zachodem już dawno przestały być transakcjami z przypadku. Dlatego nie można mówić o małym znaczeniu handlu ze Wschodem. Stosunki buduje się na trwałym fundamencie, oczywiście na zasadzie wzajemnych korzyści. A zatem mają one charakter długoterminowy.

Właśnie nowy, dalszy rozwój tych stosunków, jak podkreślono to w obecnym, dziesiątym pięcioletnim planie rozwoju gospodarki narodowej ZSRR, przewiduje jeszcze bardziej bliską, głębszą i długoterminową ekonomiczną współpracę między Wschodem i Zachodem.

Pytanie: Czy uważa pan, że istnieje wzajemna zależność między osiągniętą wielkością obrotu towarowego w handlu Wschód — Zachód, a tak zwanymi porozumieniami wschodnimi? Czy polityka odprężenia wywarła korzystny wpływ na eksport Republiki Federalnej do krajów Wschodu?

Odpowiedź: Niewątpliwie, istnieje taka współzależność. Przecież właśnie od czasu zawarcia porozumień: moskiewskiego i warszawskiego, to jest od 1970 roku, obrót towarowy między RFN i ZSRR, Polską i innymi krajami zwiększył się bardzo wydatnie.

Porozumienia te, które udało się zawrzeć tylko dzięki polityce odprężenia, stworzyły nowe, bardzo ważne przesłanki dla stosunków ekonomicznych — które w przeszłości, w znacznym stopniu, miały charakter sporadyczny — a mianowicie: znormalizowały i umocniły podstawy polityczne.

Pytanie: W pierwszej połowie 1976 roku krajom RWPG udało się bardzo wydatnie rozszerzyć swój eksport do Republiki Federalnej. Czyż nie świadczy to o zwiększonych możliwościach eksportowych, jak i w ogóle należy oceniać eksportowe propozycje krajów RWPG? Jakie są handlowe ograniczenia na określone towary?

Odpowiedź: Nie ma najmniejszej wątpliwości, iż w ostatnich latach kraje wschodnie coraz bardziej umacniały się ze swymi towarami, w tym również wyrobami gotowymi, na rynkach zachodnich, a zatem i w RFN. Oczywiście, istnieją rozbieżności między poszczególnymi krajami i dziedzinami, jeśli chodzi o budowę maszyn czy przemysł elektrotechniczny, chemiczny, farmaceutyczny lub naftowy, czy też inne gałęzie przemysłu. To już wpływ zmian strukturalnych. Mogę tylko z zadowoleniem stwierdzić, że taki pozytywny wpływ przejawi się w najbliższych latach we wzroście obrotów.

Pytanie: Kompleksowy program RWPG, który pięć lat temu został przyjęty na lat dwadzieścia i w którym nakreślono, przede wszystkim, specjalizację gospodarek narodowych krajów członkowskich, wysuwa także propozycję szerokiej, lub częściowej, współpracy z krajami nie wchodzącymi do tej organizacji. Dlaczego zachodnioniemiecka ekonomika ignorowała dotąd tę propozycję?

Odpowiedź: Na ten temat mogę powiedzieć, co następuje. Nie uważam za niemożliwą, czy wykluczoną na dłuższy czas, częściową lub szeroką współpracę krajów zachodnich, bądź zachodnioniemieckich firm lub grup firm, w realizacji projektów kompleksowego programu RWPG. Jednakże nadal uważam — i tym, jak sądzę, należy tłumaczyć trwającą dotąd powściągliwość — że taka współpracą nie jest tym, co możemy i powinniśmy robić teraz i w najbliższej przyszłości. Jest to, być może, trzeci lub czwarty krok, który powinien być zrobiony, kiedy we współpracy między Zachodem i Wschodem, a głównie między firmami i przedsiębiorstwami, a także wschodnimi organizacjami ekonomicznymi, zgromadzi się wiele praktycznego doświadczenia w handlu, kooperacji i współpracy z krajami trzecimi. Doświadczenie to bezwarunkowo powinno się stać podstawą dla realizacji dalszej współpracy.

Pytanie: Czy nie sądzi pan, że byłoby pożądane i korzystne dla wszystkich uczestniczących stron, gdyby między obu ekonomicznymi organizacjami: RWPG i EWG zawarto porozumienie o współpracy?

Odpowiedź: Myślę, że jest nie tylko pożądane, lecz nawet konieczne, żeby między obu organizacjami ekonomicznymi, a mianowicie między EWG na Zachodzie i RWPG na Wschodzie zostały nawiązane bliższe stosunki.

Pytanie: Jak w ekonomice światowej widzi pan rolę krajów RWPG w najbliższym dziesięcioleciu z punktu widzenia światowej produkcji przemysłowej?

Odpowiedź: Reasumując to wszystko, co powiedziałem uprzednio, pragnąłbym stwierdzić, iż rola krajów członkowskich RWPG w ekonomice światowej w najbliższym dziesięcioleciu będzie wzrastać. Jest to dla mnie całkowicie zdrowym, naturalnym i zupełnie normalnym rozwojem. Jak już niejednokrotnie podkreślano, ekonomiczne możliwości krajów RWPG są bardzo duże, a już osiągnięty poziom rozwoju ekonomiki poszczególnych krajów członkowskich rośnie nadal.

Rynek wschodni jest ogromnym, rozwijającym się rynkiem z wielkimi możliwościami. W przemyśle zachodnioniemieckim wiemy o tym, orientujemy się na ten rynek, od wielu lat utrzymujemy z nim kontakty i tak będziemy postępować w przyszłości".

JERZY CZECH

■ CO ZAPOWIADA MISJA MONDALE?
■ 11 RUNDA ROKOWAŃ W WIEDNIU
■ BELGRADZKIE SPOTKANIE NIEZAANGAŻOWANYCH

Prezydent Carter nie planuje w bieżącym roku podróży światowych. Zapowiedziano natomiast, że do Waszyngtonu przybędą premierzy Callaghan i Fukuda, kanclerz Schmidt i prezydent Giscard d'Estaing. Ale **nowy lokator Białego Domu wysłał w dalekie wojaże swego zastępcę — wiceprezydenta Waltera Mondale.** Odwiedził on kilka krajów Europy zachodniej i Japonię. Celem 10-dniowej podróży było nawiązanie współpracy między nową administracją amerykańską a sojusznikami. Mondale oświadczył, że z rozmów jest zadowolony, gdyż intencje Cartera bliskiego współdziałania z zachodnimi partnerami zostały zrozumiane i przyjęte. **Kontrowersje natomiast wywołały termin i tematyka projektowanego na początek lata spotkania na szczycie uprzemysłowionych krajów Zachodu.** Wiceprezydentowi USA przedstawiono szereg problemów, które powinny być wspólnie omówione. Może zmienić to charakter konferencji — spowodować wykroczenie jej poza sprawy czysto gospodarcze.

Podejmujemy jednak temat z innego powodu. **Wręczenie już u progu kadencji wiceprezydenta do wielkiej polityki jest w Waszyngtonie pewnym novum.** Potwierdza założenie Cartera, że jego zastępca nie będzie tylko „milczącym partnerem". Komentatorzy przewidywali, że parlamentarne doświadczenie Mondale wykorzystane zostanie przez nowego prezydenta do kontaktów Białego Domu z Kongresem, będzie więc zajmował się problematyką wewnętrzną. Tymczasem wspomniana misja sugeruje, że głównym zadaniem wiceprezydenta będzie ożywienie kontaktów z atlantyckimi sojusznikami.

Walter Mondale, liczący 49 lat, jest z zawodu prawnikiem. Ale dość wcześnie zajął się polityką i dwukrotnie wygrywał wybory do senatu. Mówi się o nim, że jest liberałem. Z okresu wojny wietnamskiej ma dobrą opinię w społeczeństwie, opowiadał się bowiem za politycznym rozwiązaniem konfliktu, a zatem za rokowaniami. Wcześniej, a potwierdza to również teraz, głosił, że wydatki na zbrojenia są zbyt rozdęte i trzeba je ograniczyć. **Może przeto skutecznie wspierać Cartera** w deklarowanym przez niego dążeniu do finalizowania porozumień ze Związkiem Radzieckim na temat pomniejszenia strategicznych zbrojeń ofensywnych. (Przypomnijmy w tym miejscu, że wczesną jesienią oczekuje się radziecko-amerykańskiego spotkania na szczycie i zawarcia nowego porozumienia).

Włączenie Mondale do polityki zagranicznej ma jeszcze jeden aspekt. Może wskazywać, że **będzie on zasilał nowego sekretarza stanu — Vance,** który wprawdzie jest świetnym negocjatorem, ale, jak się ocenia, nie może dorównać Kissingerowi w programowaniu tej polityki i rzutkości w wychwytywaniu jej problemów.

Kończąc ten temat odnotujmy jeszcze wiele komentarzy w prasie zachodniej, poświęconych ekipie Cartera. Pisze się, że **nowy prezydent wbrew swym zapowiedziom prawie wcale nie sięgnął po ludzi zupełnie nowych,** ale oparł się o kadrę już doświadczoną, która współdziałała z poprzednimi administracjami demokratycznymi, a ostatnio była jak gdyby w rezerwie.

Za wydarzenie minionego tygodnia można uznać **wznowienie wiedeńskich rokowań rozbrojeniowych.** 19 państw — członków Układu Warszawskiego i Paktu Atlantyckiego rozpoczęło zatem jedenastą już rundę dyskusji.

Co przyniosło dotychczasowych dziesięć?

Nie za wiele. **Rezultaty rokowań są do tej pory niewspółmierne do oczekiwań.** Wyjaśniono całkowicie stanowisko stron i osiągnięto pewne zbliżenie poglądów. Główną trudnością jest ciągle to, że państwa zachodnie nie godzą się na jednakowe procentowo obniżenie zbrojeń i sił zbrojnych, lecz żądają niemal trzykrotnie wyższych redukcji po naszej stronie. Inna przeszkoda — to brak ustaleń co do gwarancji na temat czasu i zakresu redukcji. Państwa socjalistyczne, jak wiemy, przedkładały różne kompromisowe propozycje (m. in. 19 lutego ub. roku), ale nie mogą przecież odstąpić od zasady równomiernej redukcji, gdyż wówczas naruszona zostałaby dotychczasowa równowaga.

Miejmy nadzieję, że strona zachodnia wykaże w obecnej rundzie rokowań większy realizm i sformułuje swoje stanowisko tak, że będzie możliwy wyraźny postęp. Jest on bardzo potrzebny, ponieważ zaawansowany proces odprężenia politycznego na naszym kontynencie powinien być jak najrychlej wsparty odprężeniem militarnym.

Temu zagadnieniu poświęcili sporo uwagi **przedstawiciele Ministerstw Spraw Zagranicznych 9 europejskich krajów niezaangażowanych, którzy przez dwa dni obradowali w Belgradzie.** Narada ta miała na celu wymianę poglądów na temat stopnia realizacji Aktu Końcowego KBWE. W połowie roku w stolicy Jugosławii spotkają się bowiem wszyscy sygnatariusze tego porozumienia tak, jak to postanowiono w Helsinkach.

W. SŁAWSKI

SPORT

TRUDNA WIOSNA

Tomasz Hopfer — ulubieniec niemal wszystkich telewidzów — musiał z żalem przyznać, że chociaż mamy zimę, to sportowcem miesiąca stycznia zgodnie ogłoszono lekkoatletę — Bronisława Malinowskiego, który biega i to z dobrymi wynikami niezależnie od pory roku. Wyróżnienie słusznie należało się Bronisławowi Malinowskiemu, jako, że dobrze spisywał się ostatnio aż w dalekiej Australii. Taka decyzja może jednak wywołać pewne zdziwienie, bo przecież w styczniu powinni do tytułu sportowca miesiąca kandydować przede wszystkim reprezentanci sportów zimowych. Nie kandydowali i to chyba bardzo ostro pokazuje istniejąca sytuację w tej dziedzinie naszego sportu. Wprawdzie ostatnio mówi się lub pisze z pewnym entuzjazmem o tym czy innym przedstawicielu sportów zimowych, że znów jest w dobrej formie, że znów jest najlepszy, ale niemal zawsze okazuje się, że nasi są najlepsi wśród Polaków, znacznie gorzej wypadają natomiast, gdy przyjdzie im walczyć o prymat z innymi. Ot, choćby jak nasz najlepszy Stanisław Bobak.

Nic więc dziwnego, że kibice, mimo zimy, bardziej interesują się na przykład piłką nożną niż narciarstwem czy jazdą szybką na lodzie. W piłce nożnej wprawdzie trwa przerwa, czyli wszyscy szykują się do wiosennej rundy rozgrywek, a kadra narodowa do ważnego i decydującego spotkania z piłkarzami Danii, ale to tylko rozbudza wyobraźnię i zmusza do zastanawiania się nad tym, co będzie i jak będzie? Jedno wszakże wiadomo niewątpliwie: piłkarska wiosna rozpoczyna się w lutym. A będzie to — tak przynajmniej twierdzą niektórzy — trudna wiosna. Zobaczymy.

Nim jednak piłkarze znów wyjdą na oblodzone lub rozmiękłe boiska, bo któż to może przewidzieć, jaką będziemy mieli pogodę pod koniec lutego, warto zastanowić się nad wiosennymi szansami tej czy innej drużyny. Dla łodzian — oczywiście — nad szansami ŁKS i Widzewa.

Jesienny sukces piłkarzy ŁKS cieszy wszystkich, a jednocześnie zmusza do zastanowienia: jak sobie poradzą wiosną? Jesienią zaskoczyli wiele innych drużyn, które wychodziły na boisko z niewiarą w możliwości piłkarzy ŁKS. Były przekonane o własnej wyższości i to im zaszkodziło. Wiosna nikt już nie będzie lekceważył możliwości ŁKS. Przeciwnie. Wszyscy będą starali się dobrze przygotować do takiego spotkania i będą starali się samemu sprawić ŁKS niespodziankę. A więc wiosna okaże się, jakie są faktyczne możliwości piłkarzy ŁKS. Wiosną — jak to napisał „Przegląd Sportowy", cytując opinię niektórych kibiców i specjalistów — „wyjdzie szydło z worka" i ŁKS zajmie miejsce, jakie powinien...".

Leszek Jezierski świadom jest tego, że w I lidze obowiązuje hasło: „wszyscy przeciwko liderowi" i przygotowuje piłkarzy ŁKS również i na takie niebezpieczeństwo, tym bardziej, że przed ŁKS stoi zadanie nie tylko utrzymania się w czołówce I ligi, ale również możliwość sięgnięcia po Puchar Polski. A tu na drodze stoi groźna mielecka Stal. Nie będzie to dla ŁKS łatwa wiosna.

Nie będzie to łatwa wiosna również dla Widzewa, który wprawdzie mocno usadowił się w środku ligowej tabeli, ale który też nie może poprzestać tylko na ciągłym utrzymywaniu takiej pozycji. Już dziś można się cieszyć na łódzkie derby, na spotkanie Widzewa z ŁKS, które będzie sprawdzianem dla obu drużyn, ale też w tym oczekiwaniu jest coś, co bardzo ostro charakteryzuje sytuację piłkarzy RTS Widzew. Drużyna ta nie może bowiem zatrzymać się w miejscu, gdyż byłoby to początkiem cofania się. Musi iść do przodu, awansować w ligowej tabeli, rozwijać się.

Do piłkarskiej wiosny nie jest już daleko. Ligowe zespoły rozjechały się na zagraniczne wojaże. Zespół warszawskiej Legii pojechał aż do Indonezji w poszukiwaniu dobrej formy. Mielecka Stal szuka jej w NRD, a ŁKS szukać będzie w Holandii. Natomiast szczecińska Pogoń zdobyła się — jak to określił trener tej drużyny, Bogusław Hajdas — na eksperyment. Na czym polega ten eksperyment? I tu ciekawostka. Polega on bowiem na tym, że Pogoń... nie wyjechała w tym roku za granicę.

Bogusław Hajdas jest człowiekiem niezwykle sprytnym. Gdyby powiedział po prostu: nigdzie nie wyjeżdżamy, zaczęto by się wtedy zastanawiać: dlaczego? A jak on mówi, że robi eksperyment, nigdzie nie wyjeżdżając, to już samym określeniem, słówkiem wytrychem, które znaczy wszystko i nic nie znaczy, tak dokładnie kamufluje tę prostą taktykę szczecińskiego zespołu, że nikt nie pomyśli już, o co tu chodzi.

A chodzi o bardzo prostą rzecz. Wiosenna runda zaczyna się pod koniec lutego. Nie będą to łatwe warunki. Boiska mogą być rozmiękłe, oblodzone, może być śnieg, mróz, zawieja nawet. I Bogusław Hajdas do takich warunków przygotowuje swoją drużynę. Przygotowuje ich na najgorsze i szczecińska Pogoń może zrobić tej wiosny niespodziankę.

Nie będzie to łatwa wiosna dla piłkarzy.

BOGDA MADEJ

HIPOTEZY

Czy asteroidy są nie wykorzystanym składnikiem materialnej struktury planet, czy też pozostałością jakiejś wielkiej katastrofy kosmicznej? Problem ten, będący od lat przedmiotem niezwykle ożywionej dyskusji naukowców, znów znalazł się w centrum ich uwagi.

BOHDAN FELT

KOMETY—POZOSTAŁOŚĆ KATASTROFY KOSMICZNEJ

Otóż wiele miliardów lat temu istniała w naszym Układzie Słonecznym wielka planeta, która na tle nocnego nieba była podobno najjaśniejszym obiektem po Księżycu. Pod względem jasności przewyższała takie planety jak Wenus, Jowisz, a także inne superjasne gwiazdy i nawet w słoneczny dzień była słabo widoczna. Kulista planeta składająca się z substancji stałych (skalistych), płynnych i gazowych, która wielkością dorównywała Saturnowi, poruszała się po orbicie wokółsłonecznej pomiędzy Marsem a Jowiszem — w tym rejonie gdzie dziś znajduje się strefa asteroidów i planetoid. Prawdopodobnie krążyłaby ona tam do dnia dzisiejszego, gdyby nie eksplozja kosmiczna o ogromnej sile wybuchu, jaka miała miejsce przed kilkoma milionami lat, w efekcie czego planeta zniknęła z Układu Słonecznego.

Z tą zaskakującą hipotezą wystąpił w 1972 roku **M. W. Ovenden,** astronom z „University of British Columbia". Obecnie rozwinął ją jego amerykański kolega, który na podstawie prowadzonych przez siebie prac wysnuł wniosek, iż „brakująca planeta" naszego Układu rzeczywiście istniała, a jej katastrofa nastąpiła dopiero przed sześciu milionami lat. **Thomas C. Van Flandern** z „U. S. Naval Observatory" w Waszyngtonie wyjaśnia tę niezwykle niską liczbę lat następująco: **„Gdybyśmy przyjęli okres istnienia całego Systemu Słonecznego za jeden rok, to moment katastrofy planety musiałby mieć miejsce wczoraj".**

Intrygująca historia istnienia tej planety, którą z racji tajemniczego zniknięcia nazwano **Faeton** (legenda o Faetonie) wywołała tak burzliwe reperkusje, że wśród astronomów pojawiły się krańcowo różne zdania na ten temat, rozgorzały liczne spory oraz ujawniło się szereg poważnych wątpliwości. Dyskusje bowiem dotyczyły nie tyle problemu powstania poszczególnych grup planet i innych mini planet tworzących strefę asteroidów. Wątpliwości odnosiły się raczej do dotychczasowej teorii pojawienia się w Układzie Słonecznym komet.

Te nieco dziwne obiekty, które czasami można zaobserwować na niebie, utworzone są w zasadzie z jądra, świecącego mniej lub bardziej intensywnie, otoczonego ciemniejszą powłoką pyłową. Przedłużeniem jej jest pojedynczy lub rozczłonkowany warkocz, zaczynający się od jądra i ciągnący się w kierunku odsłonecznym. W pobliżu tzw. perihelium warkocz ten rozwija się do dość znacznych rozmiarów, zaś jego świecenie dość znacznie wzrasta. Tak na przykład rozproszona „głowa" komety może osiągnąć średnicę przekraczającą 160.000 km, podczas gdy długość warkocza może wynieść nawet 64.000.000 km (Paul W. Merrill: „Chemia kosmosu"). Jądro w środkowej części „głowy" może się jednak okazać małe i czasami jego średnica nie przekracza kilku kilometrów. Również warkocz nie zawsze występuje u komety.

Charakterystyczną cechą komet jest to, iż posiadają stosunkowo niewielką masę, co wynika między innymi z faktu poruszania się ich po orbitach eliptycznych bądź parabolicznych pod wpływem grawitacyjnego przyciągania Słońca, znajdującego się w jednym z ognisk toru orbitalnego. Te spośród orbit, które przechodzą w pobliżu większej planety, ulegają perturbacjom wywołanym jej oddziaływaniem grawitacyjnym, zaś żadna z komet nie dysponuje taką masą, by umożliwiła ona zmianę orbity jakiejkolwiek planety lub satelity.

Odnośnie prób wyjaśnienia pochodzenia komet, to starań w tym kierunku podejmowano wiele. Rezultatem ich było cały szereg mniej lub bardziej różnorodnych hipotez na temat ich powstania. **Brian Marsden** ze „Smithsonian Astrophysical Observatory", uchodzący za jednego z najlepszych w świecie specjalistów od tych spraw, wypowiadając się na temat teorii Van Flanderna, stwierdził m. in.:

„Muszę przyznać, że jest ona pozornie trudna do obalenia, mimo to nie uważam, aby była słuszna. Moim zdaniem na powstanie komet i planetoid złożyły się znacznie bardziej skomplikowane procesy. Ale, jak już powiedziałem, nie jest bynajmniej sprawą łatwą dowieść tego w sposób natychmiastowy".

Koncepcja, w myśl której miejsce pierścieniowej strefy asteroidów zajmowała pierwotnie wielka planeta, nie jest bynajmniej nowa i znalazła swoje odbicie już 200 lat temu w prawie J. E. Bode'go. Ta matematyczna metoda przybliżonego wyznaczania odległości planet od Słońca ujawniła fakt istnienia między Marsem a Jowiszem planety, której nikt nie mógł znaleźć. Dopiero w 1801 r. włoski mnich, **Giuseppe Piazzi,** odkrył w owej strefie pierwsze planetoidy, których ilość według najnowszych ustaleń sięga liczby 50 tysięcy. A oto co na ten temat mówi **Van Flandern:**

„Początkowo ludzie sądzili, że powstała tam planeta, która później się rozpadła. Kiedy jednak zaczęło im sprawiać trudności znalezienie wyjaśnienia przyczyn takiej katastrofy kosmicznej zrodziło się przekonanie, że

Rys. Janusz Szymański-Glanc

planeta nigdy nie istniała. Tak właśnie przedstawiały się sprawy do momentu, kiedy Ovenden nie wysunął swojej intrygującej tezy".

Ovenden w swej hipotezie wypowiada także pogląd, że obiekty, które w przestrzeni kosmicznej znajdują się pod wpływem wielu różnych oddziaływań grawitacyjnych, dążą do utworzenia możliwie najbardziej stabilnej konfiguracji. Teza ta potwierdza się nie tylko za pośrednictwem procesów symulacyjnych, realizowanych przy pomocy komputerów, ale również wówczas, kiedy się ją rozważy w odniesieniu do księżyców Jowisza i Saturna. Kiedy jednak Ovenden przeprowadził swoje obliczenia dla całego Systemu Słonecznego, okazało się, że odległości poszczególnych planet od Słońca wyznaczone matematycznie nie pokrywają się z rzeczywistymi wartościami. Zgodność między obliczeniami matematycznymi a stanem faktycznym udało się Ovendowi osiągnąć tylko w odniesieniu do tej strefy naszego Układu, gdzie dziś znajduje się orbita asteroidów, a przed milionami lat istniała owa tajemnicza planeta. Z przeprowadzonych obliczeń Ovenden wysnuł szereg wniosków, m. in. że masa planety przekraczała 90-krotnie wartość masy globu ziemskiego, z czego ok. 75 procent stanowiły substancje płynne i gazy oraz, że eksplozja, która położyła kres jej istnieniu nastąpiła przed 16 milionami lat. Van Flandern komentuje to następująco:

„Hipoteza, według której owa brakująca planeta składała się w znacznej części z wody jest w zasadzie zgodna z naszymi ustaleniami co do struktury chemicznej obiektów krążących w tym rejonie Układu Słonecznego. Interesujące jest to, że właśnie komety zawierają w swym składzie znaczny procent wody, a dokładniej mówiąc — lodu. Być może więc, iż z jądra planety będącego substancją stałą powstały asteroidy, a z jej części płynnej i atmosfery — komety".

Ów amerykański badacz zaczął się bliżej interesować wynikami prac Ovendena w 1974 roku, kiedy to wykorzystał je we własnych studiach nad tym zagadnieniem.

„Doszedłem wówczas do przekonania — jak sam wspomina — **iż nie tylko należy wykorzystać tę teorię, ale również zaakceptować jej konsekwencję — istnienie brakującej planety".**

Ponieważ z owej planety pozostało bardzo niewiele szczątków — planetoidy krążące w tej strefie stanowią bowiem jedną tysięczną część masy Ziemi — Van Flandern uznał, iż musiała to być niezwykle silna eksplozja, jeśli większość materiału planety została wyrzucona poza obręb Układu Słonecznego. Te zaś jej cząstki, które pozostały, krążyły wokół Słońca przecinając w wielu przypadkach tory innych planet i będąc przez nie stopniowo przechwytywane. Amerykański astronom uważa w związku z tym, iż materiał planety, którego prędkość nie była na tyle wystarczająca, aby całkowicie mógł opuścić Układ Słoneczny, musiałby się znaleźć na bardzo długim torze eliptycznym, po którym przebyłby odstęp równy przypuszczalnie ok. jednej czwartej odległości do następnej stałej gwiazdy, nim siła przyciągania Słońca nie spowodowała jego powrotu na dawne miejsce.

„Jedyną grupą obiektów, która odpowiadałaby tej hipotezie, są komety" — stwierdza Van Flandern.

Na temat pochodzenia komet istnieje wiele różnych teorii, często bardzo oryginalnych i kontrowersyjnych. Jedną z dość prawdopodobnie brzmiących jest hipoteza wysunięta przez amerykańskiego astronoma prof. **F. L. Whipple'a** z Harvard College, zdaniem którego jądra większości komet nie są jednolitym, małym i gęstym ciałem, lecz zwartą grupą wielu małych bryłek powstałą wskutek kondensacji cząstek prostych związków, jak: woda, amoniak, metan, dwutlenek węgla, tlen węgla i cyjan — rozproszonych w przestrzeni międzygwiezdnej. Prawdopodobnie zmieszane są one z niewielką ilością ciężkich substancji, tych samych, z których utworzone są meteoryty i stopniowo skupiają się wokół jakiejś cząsteczki większej od pozostałych, tworząc w ten sposób stałą masę zamrożoną w zimnie syderalnym. (Robert Tocquet: „Życie na planetach"). Jest to tzw. hipoteza „lodowego konglomeratu". Według niej w pobliżu Słońca część lodu topi się lub wyparowuje, a pewna ilość cząsteczek ulega dysocjacji. Prócz tego gazy tworzące głowę i warkocz komety, wydzielane pod wpływem światła przez stałe cząsteczki znajdujące się w jądrze, zaczynają świecić, dzięki czemu możliwa staje się analiza spektroskopowa.

Istnieją także poglądy, iż komety są w pewnym sensie powiązane z planetoidami. Taką właśnie hipotezę, bardzo zresztą zbliżoną do koncepcji Ovendena i Van Flanderna wysunął swego czasu holenderski astrofizyk Jan H. Oort, dyrektor obserwatorium w Lejdzie, stwierdzając, że komety powstały z rozpadnięcia się planety, która niegdyś krążyła po obecnej orbicie komety. Pozostałości takiej katastrofy kosmicznej dałyby początek planetoidom, meteorytom i kometom. **J. H. Oort,** obserwując ruchy komet, zauważył, że tory tych spośród nich, które przy „pierwszym powrocie" (w rejon Ziemi) zbliżają się do Słońca, ulegają bardzo poważnej zmianie wywołanej wpływem planetarnych pól grawitacyjnych; w rezultacie tego czas obiegu niektórych komet jest czasami znacznie krótszy niż innych, w przypadku których może on wynosić nawet ponad 50.000 lat. Według badań Oorta System Słoneczny jest otoczony niejako „powłoką" zawierającą ok. 100 miliardów komet, przy czym kosmologowie nie są obecnie zgodni co do tego czy komety te pochodzą ze strefy orbity Plutona czy też z obszarów granicznych naszego Układu.

Dotychczas uważano, iż czas życia komet jest stosunkowo niedługi, nie przekraczający zazwyczaj kilkuset — kilku tysięcy lat, a jedynie w wypadkach wyjątkowych — kilkudziesięciu tysięcy lat. Wymieniany już niejednokrotnie astronom **T. C. Van Flandern,** korzystając z pomocy komputera, ustalił w odniesieniu do 60 komet, iż czas obiegu ich orbit (przed „pierwszym powrotem") może być obliczany na kilka milionów lat (!). Ujawniła się przy tym pewna zaskakująca prawidłowość, ta mianowicie, iż niemal wszystkie orbity przecinają się w jednym wspólnym punkcie wyjściowym, który komety opuściły przed sześcioma milionami lat. Oczywiście trzeba mieć na względzie fakt, że z uwagi na trudności dokonania dokładnego pomiaru orbit jak i możliwości występowania zmian w oddziaływaniach grawitacyjnych na przestrzeni milionów lat, tory komet nie pasują do siebie tak dokładnie jak elementy łamigłówki-składanki. Mimo to w 75 procentach przypadków badanych orbit komety opuszczały przed 5—7 milionami lat strefę pomiędzy Marsem a Jowiszem liczącą 160 milionów kilometrów. Patrząc jednak z punktu widzenia odległości astronomicznych można uważać, jak stwierdza Van Flandern, że strefa ta była „bardzo wąska". Obok obliczeń orbit astronom ów analizuje również kierunki stron Wszechświata, z których przypuszczalnie mogło nadlecieć wspomnianych 60 komet. Według teorii Oorta komety rozpoczynały obieg orbity w bliskiej okolicy Słońca, kiedy niejako uzyskiwały impuls pola grawitacyjnego gwiazdy, którą mijały, w związku z czym można przyjąć, iż kierunki z których komety nadlatywały, były raczej przypadkowe. Gdyby więc komety pochodziły z eksplozji planetarnej, to w rezultacie wpływu Słońca z jednej połowy nieboskłonu musiałoby ich „powracać" dwukrotnie więcej niż z drugiej. Dokładniej mówiąc, jak twierdzi Van Flandern:

„Połowa nieboskłonu zawierała dwie trzecie tych komet, podczas gdy druga połowa tylko jedną trzecią".

Hipoteza o brakującej planecie nie zyskała jednak na szerszą skalę powszechnego uznania. Zaprezentowane badania są całkiem nowe i ich wyniki skłaniają do przypuszczeń o konieczności podjęcia przez naukowców poważnych kroków badawczych na tym polu choćby dlatego, by uzyskać rezultaty podobne do wyników studiów Thomasa C. Van Flanderna. Pozostaje jednakże bez odpowiedzi jedno istotne pytanie, mianowicie, jeśli planeta wielkości Saturna eksplodowała dopiero przed sześcioma milionami lat, to czy nie pozostały po niej ślady na Ziemi, Księżycu i Marsie? Dla wielu badaczy brak tych śladów wystarczył już za powód do odrzucenia całej hipotezy. Inni z kolei przypuszczają, iż być może takie „blizny" istnieją, lecz jak dotychczas nikt ich jako takich nie zidentyfikował. A więc tajemnica zniknięcia Faetona nadal pozostanie zagadką?

PSY I LUDZIE

Wszystkim, którzy mają zaliczoną lekturę książek Konrada Lorenza: „Tak zwane zło" i „Opowiadania o zwierzętach", a także tym wszystkim, którzy tamtych książek nie znają, ale za to hodują w domu psa, polecamy kolejną książkę wybitnego austriackiego naukowca noszącą tytuł „I tak człowiek trafił na psa". Na samym początku człowiek trafił zresztą na szakala, albo też może odwrotnie, to szakal zaczął się powoli przyzwyczajać do obecności człowieka, w każdym razie to był moment, od którego zaczęło się oswajanie psa. Kto już zna naukową eseistykę Konrada Lorenza, tego nie trzeba przekonywać, że i tym razem zetknie się z mądrą, piękną książką która o psiej duszy powie więcej niż wszystkie podręczniki traktujące o wychowywaniu psa i tresurze razem wzięte. Lorenz opowiada o różnych przypadkach, które wydarzyły mu się podczas wieloletniego obcowania ze swoimi psami. Opowiada zawsze po to, aby dokładnie zanalizować i wytłumaczyć, dlaczego w danym momencie pies zachował się tak, a nie inaczej. Lektura tej książki pozwoli nam uświadomić sobie jak należy właściwie traktować psa, który tak, jak człowiek ma swoją odrębną psychikę, swój świat przeżyć związany z osobą właściciela. Lorenz nie tylko uczy kochać zwierzęta, ale uczy przede wszystkim, jak wiele trzeba włożyć wysiłku, aby je poznać i zrozumieć.

Jeśli ktoś akurat ma zamiar sprawić sobie psa, to niech koniecznie przeczyta najpierw książkę profesora. Bo może się zdarzyć i tak, że to człowiek nie będzie mógł sprostać wymaganiom, jakie stawia prawdziwa przyjaźń ze zwierzęciem. Często tak bywa, niestety.

Konrad Lorenz „I tak człowiek trafił na psa", przełożyła A. M. Linke, PIW, W-wa 1976, str. 152, cena zł 20.

5 OPOWIADAŃ

Na tom prozy Andrzeja Górnego opublikowany przez Wydawnictwo Poznańskie, składa się pięć opowiadań. Tytułowe — „Gwiazdo przyszłaś" i „Ślub", a także „Dynie", „Bez słowa" oraz „Pułapka". Z recenzji na obwolucie wynika że trzy z nich: „Gwiazdo przyszłaś", „Dynie" i „Ślub" drukowane już były wcześniej. W każdym razie wszystkie opowiadania wydane obecnie składają się w jakiś sposób na tematyczną a i narracyjną całość. Górny penetruje najmroczniejsze zakamarki ludzkiej psychiki. Wydarzenia, które opisuje, konkretne i ostro narysowane są właściwie pretekstem do odsłonięcia przeżyć, myśli i marzeń swoich bohaterów. Nie pointuje swoich opowiadań, poczynaniom i postawom opisywanych osób towarzyszy niedopowiedzenie, nie upraszcza sytuacji nie podsuwa czytelnikowi gotowych rozwiązań. Tak jest w opowiadaniu „Gwiazdo przyszłaś", w którym pisarz kreśli zbiorowy portret rodzinny, a przede wszystkim sylwetkę nauczycielki Anny, tak jest również w opowiadaniu „Ślub", czy w tragicznej historii wiejskiego przygłupka — Kaśki. O prozie Górnego pisał Jan Pieszczachowicz: „...znakomicie operuje narracją — tak, że prawda i złudzenie, realność i marzenie mienią się wszystkimi odcieniami, przechodzą niedostrzegalnie w swoje przeciwieństwa".

Andrzej Górny „Gwiazdo przyszłaś, Ślub i inne opowiadania", Wyd. Poznańskie 1976, str. 157, cena zł 18.

REWOLUCJA W GENERALSKIM MUNDURZE

Lech Niekrasz, publicysta „Życia Warszawy", jest autorem licznych książek poświęconych morzu oraz Ameryce Łacińskiej. Jego najnowsza książka „Rewolucja w generalskim mundurze" to reporterska relacja poświęcona rewolucji peruwiańskiej. A więc tym razem Peru pokazane nie jako ojczyzna Inków i ich zadziwiającej cywilizacji, do dziś jeszcze pasjonującej badaczy, nie jako kraj wielu mało jeszcze znanych kultur preinkaskich, słowem nie Peru frapujące swoją egzotyczną przeszłością, ale Peru współczesne. „Fenomen rewolucji peruwiańskiej — pisze Niekrasz — jedynej dziś zresztą na całym rozległym subkontynencie — zasługuje na uwagę tym bardziej, iż nie kto inny, jak właśnie wojskowi zdobyli się na przywrócenie pojęciu rewolucji jej rzeczywistego znaczenia. Nie jest to rewolucja typu socjalistycznego gdyż twórcy jej dystansują się od marksistowskich koncepcji rewolucyjnych niemniej jednak polityczne i społeczne treści rewolucji peruwiańskiej dowodzą jej radykalnie antyimperialistycznego charakteru". Obfitość interesującego materiału, jaki zebrał autor reportaży pozwala znaleźć w książce odpowiedź na pytanie, jak do tej rewolucji doszło.

Lech Niekrasz „Rewolucja w generalskim mundurze", Książka i Wiedza, W-wa 1976, str. 339, cena zł 30.

SPÓR O LISTY

Kiedy w roku 1967 ukazała się opublikowana przez Polskie Wydawnictwo Muzyczne książka Jerzego Marii Smotera „Spór o „listy" Chopina do Delfiny Potockiej" bardzo szybko okazało się, że toczący się od 1945 roku spór o autentyczność ogłoszonych przez Paulinę Czernicką tekstów mających być rzekomo listami Chopina do Potockiej, pasjonuje wiele osób. Książka ukazała się wprawdzie w niewielkim nakładzie ale z miejsca zyskała miano bestselleru. Publikacja Smotera pokazywała problem uporządkowany historycznie przedstawiała argumenty zarówno zwolenników jak i przeciwników autentyczności listów, wreszcie zawierała również wyniki badań samego autora z których wynikało jednoznacznie, że owe listy są zręcznymi falsyfikatami. Spór się jednak nie zakończył, bo jak pamiętamy, w roku 1973 wybuchł z nową siłą i namiętnością za sprawą Mateusza Glińskiego. Dyskusja była głośna i chyba nie ma powodu jej przypominać bo objęła niemal całą prasę literacką. Nowe wydarzenia, a także, jak wspomina w swojej przedmowie Jerzy Maria Smoter — inspiracja profesora Kazimierza Wyki sprawiły, że autor postanowił wzmocnić swoją książkę. Oczywiście poszerzoną i uzupełnioną o nowe materiały opinie i nawet milicyjne ekspertyzy fotokopii. Sam autor niestety nie doczekał już drugiego wydania swojej pasjonującej książki, która z pewnością i teraz błyskawicznie zniknie z księgarni.

Jerzy Maria Smoter „Spór o „listy" Chopina do Delfiny Potockiej", Polskie Wyd. Muzyczne, Kraków 1976, str. 283, cena zł 75.

WARTO PRZECZYTAĆ

H. ADAMCZEWSKI „Berlińskie ABC", Iskry, cena zł 30
W. CZAPLIŃSKI „Polska a Dania — XVI—XX w.", PWN, cena zł 50
„Filozofia i współczesna biologia", KiW, cena zł 70
T. OLSZAŃSKI „Budapeszteńskie ABC" Iskry, cena zł 30
A. WILCZKOWSKI „Każdemu według potrzeb", WŁ, cena zł 40
P. WOJCIECHOWSKI „Czaszka w czaszce", PIW, cena zł 32
ŁUKASZ KURDYBACHA — „Pisma wybrane". WSiP 1976, t. I/III zł 380,—
MARIAN MAREK DROZDOWSKI — „Warszawa XX wieku". MON 1976, zł 90,—
ZBIGNIEW KUDEROWICZ — „Nietzsche". WP 1976 zł 25,—
MAREK KWIATKOWSKI — „Belweder". PWN 1976, zł 25,—
„Rocznik Warszawski XIV". PIW 1976, zł 120,—

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

BIBLIOGRAFIA ŁÓDZKA

Bibliografia, czyli spis publikacji uporządkowanych według jakiegoś kryterium, jest rzeczą nieodzowną tak, jak nieodzowny w książce jest spis rzeczy, jak pomocny jest indeks nazwisk, nazw czy tematów. Wszyscy po trosze gubimy się w ogromnym potoku informacji, publikacji, książek itp. Bibliografie pomagają nam bezbłędnie i natychmiast odnaleźć poszukiwaną publikację, zlokalizować jej czas wydania i miejsce druku.

Bez bibliografii nie można sobie wyobrazić pracy publicysty, naukowca, pisarza, bibliotekarza, nauczyciela... Nic dziwnego, że krzyknąłem: „nareszcie!", kiedy dotarła do mnie wieść, że ukazała się długo oczekiwana „Łódzka bibliografia regionalna 1945—1970".

Tę ogromną i szalenie żmudną pracę wykonali: Wanda Frontczakowa i Wacław Frontczak — dziś już niestety nie żyjący. Redaktorem naukowym dzieła, które ukazało się jako 19-ty tom Wydawnictw Bibliograficznych Biblioteki Uniwersyteckiej w Łodzi jest Bolesław Świderski. Wydawcą jest łódzki Oddział PWN, natomiast finansował przedsięwzięcie Wydział Kultury Urzędu Miasta.

Celowo przepisuję całą stronę tytułową dzieła, bo często sięgając do bibliografii, posługując się nią w codziennej pracy, zapominamy o ludziach, dzięki którym nasza wiedza uzyskuje kształt uporządkowany i systematyczny. Dlatego chciałbym tym wszystkim ludziom i instytucjom złożyć publiczne podziękowanie za księgę, która służyć nam będzie całe lata.

Bibliografia obejmuje dwadzieścia pięć lat. W tym ćwierćwieczu odnotowano około dziesięciu tysięcy publikacji na temat Łodzi. Jeszcze jeden namacalny dowód na to, jak wiele o Łodzi się pisze i... jak mało się o tym wie. Pamiętam przecież — jakże typową — opinię pewnego dyrektora, który zadufany w swojej ignorancji nie zawahał się publicznie w telewizji stwierdzić, że nie ma książek i publikacji o Łodzi.

Bibliografia Frontczaków liczy blisko 700 stron i jest tak potężną księgą, że proponuję, aby każdego, kto podobne jak ów dyrektor bzdury opowiada, stuknąć mocno tą książką w głowę. Książka waży parę kilogramów i łacno wybić może z głowy błędne przeświadczenia. Nie jestem aż tak okrutny, aby żądać od ignorantów czytania. Wystarczy, że zobaczą ów potężny spis rzeczy.

Zresztą reklamowanie „Bibliografii regionalnej" nie ma sensu. Już dziś jest to druk gorączkowo poszukiwany, często bez skutku, ponieważ nakład wynosi aż... pięćset egzemplarzy. Wiadomo oczywiście, że bibliografie nie są masową lekturą do poduszki, ale w tym akurat wypadku jest to pozycja niezbędna we wszystkich bibliotekach, pracowniach naukowych, konieczna dla publicystów, pisarzy, nauczycieli itp. Więc chyba jednak za skromnie obliczono zapotrzebowanie.

Bibliografia Frontczaków jest dowodem aktywnej obecności łódzkiego tematu w publicystyce, literaturze, ruchu wydawniczym — tak jak bibliografia prasy Kaszubiny jest dowodem na to, że Łódź w swojej historii nigdy nie była pustynią kulturalną. Jest jeszcze jeden wspólny mianownik — bibliografię prasy też wydano w śmiesznym nakładzie... trzystu egzemplarzy.

Łódzka bibliografia nie jest oczywiście wolna od pomyłek. Nie wiem zresztą, czy jest możliwe opracowanie ćwierćwiecza publikacji bezbłędnie i bez przeoczeń. Brakuje więc na przykład paru nazwisk z tomów „Tranzytem przez Łódź" oraz z „Ucieczki przedmieścia", choć ten ostatni jest odnotowany. Ale to przecież są w końcu drobiazgi wobec ogromu publikacji, jakie zebrano na blisko 700 stronach „Łódzkiej bibliografii regionalnej".

Na koniec informacja pro domo sua. Wanda Frontaczakowa ma ponoć opracowaną pełną bibliografię „Kroniki". Jest także w trakcie opracowywania bibliografii „Odgłosów" za lata 1958—1978, czyli za dwadzieścia lat. Tylko wydawcy nie ma. Może więc znajdzie się mecenas, który rozumie potrzebę dokumentowania i systematyzowania zjawisk kulturowych, jakimi są literatura i publicystyka.

WIDOK

LEWYM OKIEM

SZPILĄ W DŻINSY

Przy biurze wydawniczym Naczelnej Organizacji Technicznej istnieje od lat dziesięciu Biuro Młodzieżowych Patentów, do którego młodzież płci obojga, w wieku przedmaturalnym, przysyła swoje pomysły usprawnień i wynalazków. Bardzo to pożyteczna inicjatywa, choć nie jestem pewien, czy najlepiej zlokalizowana: wydawnictwa NOT wyrastają nieco ponad poziom szkoły średniej i młodzież po prostu nie ma kontaktu z taką instytucją; niełatwo i chyba tylko przypadkowo dowiadują się młodzi wynalazcy o istnieniu wspomnianego biura.

Mimo to wpłynęło tam przez 10 lat ponad 30 tysięcy projektów, z których jeden szczególnie podobał się redakcji „Polityki": łyżeczka do herbaty z dziurką.

Jaki ma sens dziurawa łyżeczka? Ano taki, że ponoć nie należy do dobrego tonu picie herbaty łyżeczką, więc przedziurawienie takowej automatycznie „wdraża" użytkownika do praktykowania właściwych manier towarzyskich. Sam lubię bardzo gorącą herbatę i przy paru pierwszych łykach posługuję się łyżeczką, zanim nie opróżni się górna część szklanki na tyle, żeby można bez oparzenia ująć szklankę palcami. Niemcy mają szklanki z uszkiem i to jest rozwiązanie idealne, praktyczne i eleganckie. Szkoda, że żaden nastolatek u nas nie wpadł na pomysł uszka (chociaż to by już nie było odkrycie, więc słusznie, nie warto). Zresztą mniejsza o herbatę, rewelacyjny natomiast wydał mi się pomysł uczenia dobrych manier na przyrządach, bądź przy pomocy stwarzania odpowiednich konieczności.

We wsi Koniakówka na Orawie pokazują jeszcze skansenowski pańszczyźniany dwór, gdzie drzwi do jednego z pokojów mają wysokość metra. W tym pokoju pan dziedzic przyjmował swoich poddanych, a każdy z nich wchodząc musiał się głęboko schylić w drzwiach. Czy to nie prosty sposób nauczenia grzeczności? Przedziurawić łyżeczkę, obniżyć drzwi...

Można by na przykład zainstalować w tramwajowych siedzeniach ukryte szpile, które za naciśnięciem odpowiedniego guzika przez motorniczego wyskakiwałyby i kłuły w dżinsy młodzieńca, nie chcącego ustąpić miejsca renciście. Czyż to nie prosta i skuteczna nauka grzeczności?

Zamiast anemicznych i czasami nieortograficznych napisów „Prosimy zamykać drzwi" można przecież skonstruować klamkę — kleszcze, które nie wypuści dłoni delikwenta, dopóki drzwi nie zostaną dokładnie zamknięte. Zamiast wycieraczki pode drzwiami i tabliczki z prośbą „Wycierać obuwie" — można położyć gruby plaster lepu na muchy i każdy do salonu wejdzie w skarpetkach, daj Boże czystszych niż zamszaki. Pomysłów powyższych nie zgłaszam do opatentowania tylko dlatego, że dość dawno już przekroczyłem próg egzaminu dojrzałości i żadna ciocia już mojego wybitnego pomyślunku nie pochwali. Pozwolę sobie jeszcze tylko zwrócić uwagę, że system uczenia grzeczności na przyrządach jest sprawdzalny, bo można go odwrócić: można tworzyć przyrządy, żeby nauczyć pożądanych odruchów, a można też lansować nowe odruchy, dysponując ograniczonym i niedoskonałym asortymentem przyrządów.

Tak więc należy już od dawna uznać za eleganckie wyjadanie jabłek z kompotu widelcem, jako że w lokalach poniżej kategorii „S" łyżeczek do kompotu się nie podaje. Podobnie eleganckim gestem powinno być wyciąganie z kieszeni własnej solniczki, nawet w lokalu kategorii „S", gdzie sól nie figuruje, chyba jako przewidziany normą element wyposażenia sali. Słowa nieprzyzwoite i obrzydliwe powinniśmy uznać za piękne i pełne finezji, i oto już po miesiącu słyszymy harcerzy mówiących do siebie przez prostą młodzieńczą przekorę na przykład tak: „proszę cię, kolego, oddal się, bo mogę cię niechcący dotknąć w okolicach lędźwi".

Zacznijmy jednak od dziurawej łyżeczki, z malutkim ulepszeniem. Jeżeli picie herbaty bez łyżeczki jest celem, do którego powinniśmy dążyć, to po co coś tam dziurawić, kiedy można w ogóle nie dawać?

ĆWIEK

PROPOZYCJE

BÓL ZĘBA

Rozmawialiśmy właśnie z przyjacielem o możliwości istnienia życia we Wszechświecie. Przyjaciel nie mówił tak, nie mówił nie, zastanawiał się pełen wątpliwości, rozważając wszelkie ewentualności. Ja byłem entuzjastą poglądu, że we Wszechświecie musi istnieć życie, byłoby bowiem nie do pomyślenia, żeby tylko Ziemia była wyjątkiem. To coś takiego — tłumaczyłem — jakby geocentryczna koncepcja Wszechświata, wszystko obraca się wokół Ziemi. Teraz tylko w innej skali i w innym odniesieniu. Przyjaciel zdawał się być już przekonany, gdy przyszedł zupełnie niespodziewanie mgr Mirosław K.

— O życiu rozprawiacie — ni to zapytał, ni to stwierdził.

— O życiu — odpowiedzieliśmy zgodnie z prawdą.

— Ale nie o takim zwykłym życiu, codziennym, tylko o życiu we Wszechświecie — konkretyzował problem mgr Mirosław K.

— We Wszechświecie — potwierdziliśmy.

— I do jakich doszliście wniosków?

— Skłaniamy się raczej ku poglądowi, że byłoby wbrew naturze, gdyby życie istniało tylko na Ziemi — odpowiedziałem również zgodnie z prawdą.

— Czyli, że uważacie, że gdzieś tam mogły powstać i rozwinąć się rozumne istoty? — uporczywie dopytywał się mgr Mirosław K.

— Uważamy — odpowiedzieliśmy zgodnie, chociaż niedawno spieraliśmy się dość długo na ten temat.

— A ja wam mówię, że to wykluczone! — wykrzyknął z zapałem godnym lepszej sprawy mgr Mirosław K.

— A dlaczegóż to? — nie kryliśmy swego zdziwienia.

— A dlatego — grzmiał mgr Mirosław K. — że gdyby gdzieś w nieograniczonej przestrzeni Kosmosu pojawiły się rozumne istoty i spotkał je ból zęba, to natychmiast dokonałyby samounicestwienia. Tylko głupia ludzkość mogła zgodzić się na coś tak potwornego, jak ból zęba.

Mgr Mirosław K. mówił to wszystko ze śmiertelną powagą i zupełnie serio. Ale ząb mgr Mirosława K. już nie bolał. Był właśnie u dentysty, który mu ząb zatruł, przygotowując do dalszej operacji leczenia. Mgr Mirosław K. jednakże nie poszedł na następną wizytę. Uznał, że skoro ząb już go nie boli, to nie ma sprawy. Być może teraz jego pogląd na życie we Wszechświecie byłby zupełnie inny. Kiedyś modne było takie powiedzenie: ludzie nie krowy i zmieniają poglądy, co miało znaczyć, że tylko krowy nie zmieniają poglądów. Powiedzenie to teraz jest mniej modne, albo może już wcale nie jest modne, ale fakt pozostaje faktem, że ludzie zwykli zmieniać poglądy. I nie ma w tym nic złego, jeśli poglądy zmienia się w wyniku konfrontacji z nowymi faktami, w wyniku rozwoju wiedzy.

Od dawna wiadomo, że są jeszcze na świecie rzeczy i sprawy, o których nawet nie śniło się filozofom. Kiedy pojawi się na naszym najlepszym ze światów coś nowego, nieznanego, dziwnego, wtedy jedni każą to między bajki włożyć, a inni szukają wyjaśnień. Przeczytałem nie tak dawno w gazecie opinię poważnego człowieka, obdarzonego licznymi tytułami, który wypowiada się w następujący sposób: „Przesławne „pasy startowe" w peruwiańskiej dolinie Nazca to nic innego jak wybrana przez tubylców w miękkiej skale ziemia". Ale dlaczego właśnie w taki a nie inny sposób? Czy był to więc li tylko przypadek?

O potworze z Loch Ness też można powiedzieć, że to imaginacja rozhisteryzowanych ludzi, sugestia i autosugestia. I ma się święty spokój oraz sprawę z głowy. Ale tu nagle niespodzianka. Okazuje się, że słynna Nessie ma... konkurenta. Zresztą nie jednego. Nowy objawił się w kazachstańskim jeziorze Kok-Kol. Relację ze spotkania z potworem z Kok-Kol zamieściła „Komsomolska Prawda". Autor tej relacji A. Pieczerski zainteresował się legendami o potworze, jakie krążyły wśród okolicznej ludności i to od dość dawna. Znów relacją A. Pieczerskiego zainteresował się biolog S. K. Krumow, który zbiera dane o zagadkowych stworzeniach. Odniósł się on wprawdzie do „potwora z Kok-Kol" dość sceptycznie, ale też i nie zaprzeczył z góry możliwości jego istnienia.

S. K. Krumow przypomniał, wypowiadając się na temat „potwora z Kok-Kol", że obowiązkiem uczonego jest dokładnie zbadać dany fakt,a później się wypowiadać. Przypomniał również, że obecnie — mimo iż wydawałoby się, że Ziemia jest dobrze poznana — odkryto nieznane do tej pory gatunki zwierząt. Odkryto morskie zwierzęta, które nazwano pogonoforami, a wcześniej, bo w 1958 roku, nieznany gatunek ssaków z rodziny wielorybów. Zdarzają się też przypadki odkrycia zwierząt, które są reliktami pozostałymi z poprzednich epok, o których sądzono, że dawno wymarły.

Wszelkie potwory są zawsze podejrzane, tak jak podejrzane jest wszystko, co jest niezrozumiałe, czego nie potrafimy wytłumaczyć, czego jeszcze być może nie rozumiemy, a co potrafią zrozumieć nasi następcy, tak jak my dziś rozumiemy zjawiska, które były tajemnicą dla naszych przodków.

MARCIN RODAK

magazyn

HUMOR WĘGIERSKI

PAL PETERDI

TEN JEDEN CAŁUS

Stali na przystanku. Szczytowy ruch samochodowy smagał im nogi po kolana. Wsparci o siebie od góry tworzyli jakby duże A. Ich nogi były podporami litery, a głowy w punkcie styku — wierzchołkiem. Jedynie szyje były widoczne, twarze — nie. Sądząc z pozorów, jedno z nich mogło być chłopcem, a drugie dziewczyną, albo i odwrotnie.

Autorytatywny obóz usadowiony na przeciwległym chodniku przenikał ich wzrokiem, przy czym jego członkowie ciągle się zmieniali.

— Patrzcie! — rzekła jedna niewiasta. — Co oni tam wyprawiają?

— Jak to co? — krzyknął staruszeczek. — Ano całują się, no! — i śmiał się bekliwie z miną starego huncwota.

Większość natychmiast zwróciła się przeciwko niemu.

— Pewnie stuknięty. Miłość jest sprawą prywatną. Sprawą wyłącznie dwojga ludzi. A ci poczynają sobie jak bydlęta na targowisku. Lepiej by poszli do zacisznego kąta.

— A jeśli biedacy nie mają kąta...

— To mają bramy. Albo kuchenne schody.

Oczy staruszeczka zalśniły pod naporem wspomnień.

— Prawda, prawda — bramy! Człowiek powoli wszystko zapomina. Już nie ta głowa. Ale z tym można żyć.

Wtrąciła się jakaś jejmość, jeszcze nie pozbawiona mimo lat wszystkich uroków:

— Czytałam kiedyś, że jedna para spędzała miodowe miesiące w witrynie sklepu z meblami.

— Dobrze, dobrze! — osadził ją sędziwy pan. — Ale w godzinach szczytu też nie wystawali na ulicy.

— Panie, panowie! — ozwał się energiczny sześćdziesięciolatek. — Pozwólcie, że ja wyłożę teorię możliwą do przyjęcia. Jak się dowiedziałem od moich wnucząt, w szkołach podstawowych działa z powodzeniem instytucja higienisty. Dzieci wybierają spośród siebie takiego kontrolera zdrowia, do którego obowiązków należy sprawdzanie stanu paznokci i szyi.

Jestem przekonany, że ci dwoje spełniają rolę higienistów tzn. poddają szczegółowym oględzinom swoje uszy.

Zebrani po dłuższym namyśle odrzucili teorię.

— Idiotyzm! — pisnęła jakaś kobiecina w kubraczku. — Fizycznie niemożliwe! To jednocześnie się nie uda! Niech pan spróbuje patrzeć mi do ucha, kiedy ja właśnie patrzę na pańskie.

Zadzierzysty sześćdziesięciolatek becząc nieprzerwanie, odrzucił ofertę.

Teraz zebrani na gwałt zaczęli snuć domysły, dociekając, co u diabła ci młodzi akurat w godzinach szczytu tam wyrabiają?

— Pierwsza pomoc w nagłym wypadku! Pewnie robaczki wyjmują sobie z oczu.

— Bzdury! Mało prawdopodobne, żeby do dwóch par oczu naraz wpadły cztery robaczki.

— Sjamskie bliźnięta! Zrośnięte ustami!

— Nonsens z punktu widzenia medycyny. Trudności z karmieniem takich osesków byłyby nie do pokonania. A ci wyglądają na przekarmionych.

— Hiobowe wieści sobie przekazują.

— Do tego są za młodzi. Dla takich jeszcze żadna wieść nie jest hiobowa.

— Sportowcy! Wzajemny trening płuc!

— Idź pan! W szczytowych godzinach ruchu?

— Systemem kompleksowym. Jednocześnie ćwiczą lęk przed śmiercią.

Podszedłem trochę bliżej. Jako człowiek jeszcze nie pozbawiony romantyzmu, wierzyłem, że się całują. Spostrzegłem jednak ze zdziwieniem, że o miłości nie było mowy. Chłpiec łapał muchy na szyi dziewczyny, a dziewczyna zerkając zza ucha chłopca, czytała plakat kinowy.

Już wiedziałem, co robili.

Nudzili się.

LASZLO TABI

KRÓLEWSKA NAGRODA

Na środku jednej z ulic willowej dzielnicy Budapesztu pojawił się pełzający sznurek mniej więcej półmetrowej długości. W kilka chwil potem można już było zauważyć przy jednym końcu sznurka czarnego psa, a przy drugim wysokiego mężczyznę. Przed willą numer 26 mężczyzna i pies zatrzymali się, zaś sznurek spoczął na ziemi. Na żelaznej furtce widniał napis:

AGH TIMAHLER
ARTYSTA-SKRZYPEK.

Mężczyzna nacisnął guzik elektrycznego dzwonka i wziął psa na rękę. Pies, który wabił się Herkules — drżał z przerażenia. Mężczyzna również czuł się nieswojo. W chwilę potem na schodkach willi ukazała się kobieta z obandażowaną głową. Dopiero przy furtce zauważyła psa w ręku nieznajomego. — Herkules! — krzyknęła z radością i otworzyła furtkę. Gdy tylko mężczyzna przekroczył próg, pies przeszedł do rąk niewiasty, która zaczęła go całować z rozczuleniem. Scena była po prostu wzruszająca.

— Gdzie go pan znalazł? — spytała kobieta po upewnieniu się, że pies istotnie jest ten sam.

— W Alejach Malinowskiego, — odpowiedział bohater z zimnym spokojem.

Gdy już znaleźli się na schodkach, mężczyzna krótko zdał sprawę. Siedząc w parku na ławce, czytał gazetę. Ktoś poszukiwał psa wabiącego się Herkules. W godzinę później pojawił się w pobliżu sam Herkules. Oczywiście natychmiast go rozpoznał. „Herkules" — krzyknął na psa, ale ten zaczął uciekać. Wiał w kierunku ulicy Zajęczej. Nie było rady pogonił za nim w obawie żeby mu zwierzę nie uciekło do domu, bo wtedy straci nagrodę. Na szczęście na najbliższym rogu złapał włóczęgę i oto ma go w ręku. Tymczasem weszli na werandę. Mężczyzna siadł na wiklinowym krześle. Kobieta z Herkulesem zniknęła za drzwiami. Nie trwało kilka minut, gdy wróciła, ale już bez psa.

— Mistrz jest bardzo szczęśliwy i za chwilę poprosi pana do siebie. Mam nadzieję, że pan będzie z nagrody zadowolony, — rzekła z uśmiechem i znowu wyszła. Tymczasem nieznajomy poprawił sobie przed lustrem krawat.

Mistrz istotnie był uszczęśliwiony. Długo ściskał dłoń łaskawego znalazcy i prosił go, ażeby spoczął. Ten jednak zaczął się wymawiać brakiem czasu i podziękował. (Mógłby lepiej zacząć od pieniędzy pomyślał w duchu).

— Długo zastanawiałem się nad tym, — rzekł mistrz — jak wynagrodzić tego, kto mi odniesie Herkulesa. Myślałem również nad tym, że może wprost zapytam zainteresowanego, ażeby usłyszeć jego życzenia w tym względzie. Ale ja znam ludzi, mój panie. Nieraz są tacy skromni, że zrozumieć niepodobna.

Gość z uśmiechem kiwnął głową i bąknął coś w rodzaju: „rzeczywiście".

Na to mistrz pisnął dalej:

— Doszedłem więc do przekonania, że sam wyznaczę nagrodę w wysokości trzech tysięcy forintów.

Gość usiadł już teraz i przetarł czoło chusteczką. Trzy tysiące forintów? nie do wiary. Na tyle naprawdę nie liczył. Kombinował sobie, że może najwyżej sto i wtedy byłby szczęśliwy. A tu trzy tysiące. Prawdę mówiąc, to takiej sumy nawet przyjąć nie może. Nie wypada po prostu nadużywać słabości człowieka o czułym sercu. To byłoby niemoralne.

— No na, — westchnął — rzeczywiście.

A mistrz potwierdził skinieniem głowy.

— Ja naprawdę nie mogę przyjąć... Nie, to niemożliwe.

— Może pan przyjąć bez skrupułów — odrzekł mistrz z uśmiechem, — pan w zupełności zasługuje na to. A teraz pozwoli pan — ciągnął dalej — biorąc do ręki skrzypce ja zagram panu etiudę cis-moll Brahmsa. Grałem ją właśnie wczoraj w wytwórni płyt gramofonowych, za nagranie otrzymałem trzy tysiące forintów. Chciałbym ją zagrać panu teraz w nagrodę za Herkulesa bezpłatnie.

A kiedy skończył, odprowadził gościa do furtki. Przy pożegnaniu na dodatek poczęstował go papierosem.

Przełożył:
TADEUSZ FANGRAT

Foto: Archiwum

PODZIEMNA RZEKA NA STARYM MIEŚCIE

Łódź rolnicza, położona na krawędzi doliny Łódki, zawsze była związana z przepływającą opodal rzeczką. Pojono w niej bydło, plawiono konie, prano bieliznę, zażywano kąpieli, czerpano wodę dla potrzeb gospodarczych. Rzeczkę pod samym miastem zamykała grobla, po której biegł trakt do Piotrkowa. Wody Łódki, tworzącej w tym miejscu obszerny staw, poruszały młyn wodny, zwany Grobelnym, stanowiący własność miasta. Drugi młyn miejski, oddany w dzierżawę, stał także nad Łódką, w lesie położonym na zachód od miasteczka.

Sielski obraz doliny Łódki uległ całkowitej zmianie w czasie, kiedy Łódź stała się miastem fabrycznym. Wtedy to młyny wodne nad Łódką przerobiono na folusze, a wzdłuż jej koryta usadowiły się liczne zakłady przemysłowe. Przyciągała je obfitość wody w rzeczce.

W opisie Łodzi, sporządzonym w 1860 roku przez prezydenta miasta Franciszka Traegera, znalazło się sporo uwag, dotyczących ówczesnego stanu Łódki. Traeger pisał, że bierze ona początek „ze źródeł w gruntach ornych staromiejskich od strony wschodniej w bliskości kolonii Doły do dóbr Łagiewniki należącej i z takowej formuje się w mieście staw do użytku fabrycznego służący. Przepływa ona przez miasto, grunta, posiadło fabryczne Mania do miasta należące, las miejski i wpada do rzeki we wsi Brusie (...) Koryto tej strugi jest głębokie przeszło łokieć, brzegi w niektórych miejscach niskie, spadziste, a w innych niezbyt wygórowane, przystęp bardzo łatwy (...) Głębokość stawu w niektórych miejscach dochodzi do 5 łokci, zaś koryto strugi w stanie zwykłym obejmuje głębokości 12 cali, na szerokość od dwóch do trzech łokci. W czasie największych wezbrań dochodziło koryto do wysokości więcej jak o dwa łokcie nad stan zwyczajny".

Na Łódce znajdowały się w tym czasie trzy mosty: na ul. Nowomiejskiej przy stawie, na ul. Zachodniej oraz przy zakładzie przędzalniczym na Mani. Traeger nie wspomina nic o moście, jaki stał dawniej u zbiegu ulic Północnej i Franciszkańskiej. Być może, że został on zniesiony przez wylew Łódki i nie odbudowany. Przybór wody w rzece staromiejskiej zdarzał się dosyć często, zwłaszcza w okresie wiosennych roztopów. Bywało i tak, że na skutek zerwania mostów przez powódź, Stare Miasto przez szereg dni nie miało połączenia z resztą Łodzi. Z braku urządzeń kanalizacyjnych w mieście, do Łódki odprowadzano nie tylko ścieki uliczne, ale także nieczystości z położonych w jej pobliżu farbiarń i płóczkarń wełny. Woda była tak zanieczyszczona, że mieszkańcy przestali z niej korzystać.

Proces zatruwania wód Łódki nasilił się zwłaszcza, kiedy powstały nad nią wielkie przedsiębiorstwa przemysłu bawełnianego Roberta Biedermanna (1863 r.) i Izraela K. Poznańskiego (1872 r.) Wymienieni przemysłowcy traktowali Łódkę jako kanał odpływowy i beztrosko odprowadzali do niej ścieki ze swoich fabryk.

Cuchnące wonie, wydzielające się z koryta Łódki, płynącej środkiem gęsto zabudowanej dzielnicy, zmusiły władze miejskie do częściowego ujęcia rzeczki w sklepiony kanał. Powstał on w 1917 roku na odcinku od ul. Nowomiejskiej do ul. Wschodniej, która wtedy sięgała nieco dalej na północ. Na zniwelowanym terenie urządzono pas zieleni, jakże cennej w zatłoczonej dzielnicy staromiejskiej.

Dalsze odcinki Łódki skierowano pod powierzchnię ziemi dopiero w Polsce Ludowej. Obecnie rzeczka płynie pod ziemią na całej długości Starego Miasta począwszy od ul. Źródłowej na wschodzie, aż poza ul. Srebrzyńską na zachodzie. Na powierzchnię wynurza się dopiro w Parku Ludowym na Zdrowiu, gdzie łączy się z Bałutką.

WACŁAW PAWLAK

KIERUNEK: NOWOCZESNA MUZYKA ROZRYWKOWA

Od paru lat jednym z najczęściej wymienianych wśród łódzkich muzyków jest nazwisko Jacka Malinowskiego. W ubiegłym roku ukończył on klasę fortepianu specjalnego doc. Zbigniewa Szymonowicza w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Łodzi, a niebawem minie czwarty rok pracy J. Malinowskiego w Orkiestrze Polskiego Radia i Telewizji w Łodzi pod dyrekcją Henryka Debicha, w której to orkiestrze jest pianistą.

Jest również Malinowski utalentowanym aranżerem — jednym z najzdolniejszych w naszym kraju aranżerów młodego pokolenia — o czym świadczą chociażby zdobyte dwukrotnie w ciągu ostatnich dwóch lat na Festiwalach Piosenki Żołnierskiej nagrody za aranżację utworów konkursowych. Aranżuje sporo, szczególnie na duże składy orkiestrowe, a praca ta — jak twierdzi — bardzo go pasjonuje. W ostatnim okresie czasu, współpracując ściśle z reżyserem dźwięku — Michałem Targowskim, pracuje nad twórczym wykorzystaniem mooga w swoich nagraniach.

Opracowując utwory innych Jacek sam zaczął komponować i na tym polu osiągając niebagatelne sukcesy. Dwie jego kompozycje („Standard in B" i „Bądź wieczorem w dyskotece") zostały umieszczone na longplayu „String Beat" nagranym przez orkiestrę H. Debicha i obie wzbudziły zainteresowanie zachodnich wytwórni: pierwszy utwór zakupiła wytwórnia angielska „Wilson Edition", drugi — francuska wytwórnia „Tabata". Podczas ostatniego festiwalu sopockiego przedstawiciel jednej z amerykańskich firm płytowych wyraził chęć zakupienia także „Pumy" — popularnego utworu instrumentalnego wydanego przez „Tonpress" na pocztówce dźwiękowej. Poza tym z anteny radiowej znane są też inne kompozycje Malinowskiego, jak „Rozchmurz się i zatańcz" czy „Sjesta".

W ciągu ostatnich dwóch lat Jacek Malinowski zainteresował się także piosenką popularną komponując kilka udanych pozycji z tego zakresu. Najbardziej znane to: szlagier zespołu „Aura" — „Czy przyjedziesz?" oraz od niedawna lansowany przez Polskie Radio utwór „Koncert radości" w wykonaniu Anny Jantar. Z pozostałych tytułów wymienić można „Takt twojego serca", „Balangę śpiewa świat", „Znowu przyszła ta wolna sobota", „Czas naprawić dawny błąd".

Największym sukcesem Malinowskiego — kompozytora było zdobycie na ubiegłorocznym Międzynarodowym Festiwalu Piosenki „Bratysławska Lira" w Bratysławie trzeciej nagrody („Brązowa Lira") przez jego piosenkę z tekstem Pawła Howila pt. „Nie bój się zielonego cienia", którą śpiewał Daniel.

W najbliższym czasie—mimo, iż głównym nurtem działalności tego młodego kompozytora jest nurt instrumentalny — powinniśmy usłyszeć jego nowe piosenkowe propozycje w wykonaniu m. in. Ireny Jarockiej, Krystyny Prońko, Jerzego Połomskiego. Dwie premierowe piosenki znalazły się już na płytach Zdzisławy Sośnickiej („Na nas czas") i Bogdany Zagórskiej („To właśnie ja" — kompozycja wspólna z Piotrem Figlem), trzeci utwór nagrywa na swój kolejny longplay Jadwiga Strzelecka („Będzie świat, jak sen").

Jacek Malinowski twierdzi, że kierunek jego działania to unowocześnianie muzyki rozrywkowej. Wszystko wskazuje na to, iż po łódzkim kompozytorze, aranżerze i pianiście możemy się jeszcze wiele w tej mierze spodziewać.

Jacek Malinowski

Foto: Jerzy Kuriata

STANISŁAW WILCZYŃSKI

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-102. Telefony 652-44, 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch". Nr indeksu 26762. Zam. 242. W-11.